№ 6. Warszawa, dnia 29 Stycznia (10 Lutego) 1877 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41.

BEZ SERCA.

Nowella.

Oznajmiono mi gościa: pan Emil Wirski.

— Prosić! zawołałem skwapliwie, gdyż przychodzący był jednym z tych, którym dajemy mniej lub więcej słusznie, obiecujący tytuł przyjaciela.

Emil dzisiaj od pierwszego kroku za próg mego pokoju, przedstawił mi się niezwykle w uroczystym nastroju ducha, odbitym na zewnątrz gorączkowemi ruchami, rozdartą rękawiczką, powichrzonym włosem, noszącym ślad szalonego gestu ręki drżącej i rozpalonej, jaką uścisnąłem w milczeniu, przyglądając się młodemu człowiekowi uważnie.

— Dzień dobry! Nie przeszkadzam ci? spytał grobowym głosem, przypominającym nie wiem dla czego rolę Otella z piątego aktu.

— Nie — siadaj.

Usiadł, a raczej upadł na krzesło, wielkie zrenice utkwił w przestrzeni — westchnieniem ulżył piersi. Sądziłem że zacznie mówić i czekałem w postawie zaciekawionego słuchacza. Milczał... nareszcie chwytając mię nagle za rękę, zawołał:

— Jerzy! ty znasz świat, ludzi... powiedz mi, ale najszczerzej, bez ogródki: czy wart jestem aby mię kochała kobieta, której oddaję całe moje uczucie, duszę, nazwisko, pracę moją... całego siebie... Powiedz mi...

— Co ci jest? co za pytanie?...

— Odpowiadaj! błagam cię...

Namyśliłem się chwilę. Emil jest chłopiec młody, wykształcony, poczciwy; wrodzaju Van-Dyck'owskich portretów ładny prawdziwie — czyny jego jednają mu szacunek współbraci, ma talent rysowniczy niepospolity, i pracą zeń osiąga korzyści dość znaczne — wedle mego pojęcia, na ideał ukochanego dla poetycznej dziewicy, ten właśnie pełen istotnych przymiotów młodzieniec zdaje się wszelkim odpowiadać warunkom.

Streściłem mu myśl moją najsumienniej.

Potrząsnął głową z bolesnym uśmiechem.

— A przecież *ona* mię nie kocha! rzekł powoli.

— Kto *ona?*

— Nie wiesz? nie mówiłem ci nigdy?

— Od miesiąca widuję cię tak rzadko, krótko, i tak roztargnionym... Wnosiłem wprawdzie z tego żeś zakochany — ale nie zwierzałeś mi się wcale.

— O mój Jerzy! od miesiąca też nie wiem co się dzieje ze mną... Wszak tyś moim przyjacielem?

— Wątpisz?

— W cały świat, we wszystko, ale tobie wierzę mój dobry Jerzy! Posłuchaj więc... domyśliłeś się trafnie... pokochałem... dziewczynę z anielską twarzyczką — oczy, Madonny! gdy wpatrzy się niemi w dal, zdaje się, że musi niemi widzieć niebo i jego promienne tajemnice! Pamiętasz ów rysunek co tak chwaliłeś go będąc u mnie? Anioł-Stróż pochylający się nad dziecięciem tonącem w wezbranym potoku, to ona — z niej wziąłem model.

— A więc to Filipa!

— Tak — znasz ją?

— Znam dawno. Lecz zkąd ty?

— Dawałem jej lekcye rysunku — zaproszono mię razy kilka do salonu jej rodziców gdy był wieczór tygodniowego zebrania. Dziwna rzecz, żeśmy się tam nigdy nie spotkali.

— Bywam dość rzadko u państwa Gralińskich... zebrania u nich wyznam ci, nie będąc zakochanym w pannie Filipie, nudzą mię... ale proszę cię, jeśli mię uważasz za godnego twego zaufania, opowiedz mi co się z tobą działo?

— Cóż ci powiem? któż wie jakim sposobem i kiedy miłość rodzi się w sercu?... Znałem wiele panien piękniejszych może od Filipy, lecz żadna twarz nie zrobiła na mnie takiego wrażenia — niejednej rozmowa posiadała wyższe zalety dowcipu, lecz każde jej słowo milsze mi było nad muzykę; owładnąwszy moją duszą ta skromna, cicha dzieweczka, stała się panią mego jestestwa... niezbadanem prawem co nam kochać każe wbrew rozmysłom, tą a nie inną... kochać... bez powodu, niewiadomo dla czego i za co?

— Lecz zkądże mniemanie, że miłość twoja jest niewzajemną?

— To już smutny pewnik.

— Oświadczyłeś się jej?

— Nie — ale...

— Może się mylisz? może niesłusznie wątpisz.

— Kto tak jak ja kocha, posiada dar odczuwania... żadna oznaka jej czułości nie uszłaby mojej uwagi. Kiedy nasze spojrzenia spotkają się, ona uśmiecha się do mnie, nie odtrąca, nie szydzi — ale tak spokojnie i obojętnie świecą jej oczy, jakby widziała przed sobą nie rozmiłowanego kochanka lecz np. talerz z poziomkami... Ani iskry ognia! ani cienia wzruszenia! Ręka jej letnia, miękka, przyjmuje mój uścisk niby objęcie rękawiczki... Najzapaleńsze wyrazy przerywa mi jaką powszednią uwagą w rodzaju tej że deszcz będzie padał!...

— I nie masz nadziei że się przychyli do twych zamiarów?

— Owszem, rodzice dali mi do zrozumienia, że przeciw małżeństwu córki ze mną nic nie mają do powiedzenia.

— A więc?

— Cóż mi po kobiecie bez serca?! wybuchnął Emil zrywając się i załamując ręce. Gdybym wiedział, czuł, że mię kocha... najstraszliwsze przeciwności nie wydarły by mi jej... nie uląkłbym się walki ni trudu — ale zostać jej mężem narzuconym, roztrącać codzień swe uczucia najgorętsze o skałę... to okropne! toby mię zabiło — tego nie chcę...

— Pozwolisz mi zbadać stan rzeczy?

— Po to i przyszedłem do ciebie. Badaj ją... zapewnij mię że pod tą zimną podobną gładkiej szybie

lodu powłoką, kryje się serce kochające i żywe, a żenię się natychmiast i jak zbawcy do nóg ci się rzucę...

Uścisnąłem poczciwego, zapalonego chłopaka.

— Tylko mię nie usiłuj zwodzić, poznam się na tem! zawołał. Zrób taką próbę w której wykaże się mylne moje pojęcie, wtedy uwierzę błogosławiąc cię, ale nie wmawiaj we mnie, bo okażesz się być nie moim przyjacielem lecz wrogiem.

— Bądź spokojny, szanuję twoje zasady i podzielam je. Przyrzekam być szczerym z tobą całkowicie — odparłem stanowczo.

Pożegnał mię wymógłszy obietnicę, że dziś jeszcze będę u Filipy i rozpocznę formalne śledztwo psychologiczne. Pocieszyłem go trochę teoryą. w którą święcie wierzyłem, że kobieta musi kochać i żyje przeważnie sercem, będąc raczej zdolną do szalonego pod tym wpływem wybryku, niż do wiecznie czujnej, chłodnej rozwagi.

Postanowiłem wieczorem pójść do państwa Gralińskich, a tymczasem wstąpiłem do Rzymskiego hotelu na obiad. Jedząc rozmyślałem nad mojem oryginalnem zadaniem... w tem mię ktoś uderzył po ramieniu.

— Cóżeś taki zadumany? układasz nowe arcydzieło? co?

Poznałem po głosie mego dobrego znajomego Józefa Piłsucia, ex-gospodarza, dziś właściciela kamienicy, wdowca, lat do czterdziestu, fizyognomji czerstwej, malującej zadowolenie z siebie i całego świata. Mimowoli przyszło mi do myśli porównanie jego charakteru z pojęciami mego zakochanego artysty; tenby nie pytał i nie troszczył się czy go panna kocha? Znalazłszy odpowiednią partyę, żeniłby się, i basta!

Umyślnie opowiedziałem mu wszystko cośmy mówili z Emilem. Ruszył potężnemi barkami wzgardliwie:

— A to waryat ten twój artysta! czegóż on chce do diaska. Żeby mu panna rzucała się w objęcia, żeby kwiliła jak Julietta? Dalibóg, pocieszny ten romantyk w XIX wieku. Zresztą, sam nie wie czego sobie życzy: moja nieboszczka żona, świeć panie nad duszą! była we mnie zakochaną do szaleństwa. Toż ja miałem piekło w domu: płacze bywało, o drobnostkę, żem zapomniał pocałować jej na przywitanie, żem w polu długo siedział, żem się do pokojówki uśmiechnął przyjaźnie. Powiadam ci, spazmy zaraz, historye, awantury, no, i wpadła z tego w suchoty. Widać to rozsądna panienka ta Filipa, dodał po chwilowym przestanku. Przypominam sobie, żem kiedyś kolegował z jej ojcem, on tylko o kilka lat był ode mnie starszy, naturalnie. Szkoda jej doprawdy za takiego sowizdrzała.

Nie dojadłszy obiadu, zapłaciłem coprędzej i wyszedłem bo mię dławił cynizm tego człowieka. Nie! pomyślałem — kobieta nie jest zdolną do takiego zmateryalizowania się... ot! i tamta biedaczka, żona Józefa, umarła, a choroba jej jak się pokazuje, były suchoty serca nie płuc... Filipa musi kochać tego uczuciowego szlachetnego Emila, choćby dlatego, że takich Józefów mamy mnóstwo, takich Emilów, tak niewielu niestety!...

Z pewnem wzruszeniem wstępowałem w otwarte podwoje mieszkania rodziców Filipy. Zastałem ją z robótką, samą w saloniku.

— Jakiż niespodziewany i rzadki gość! rzekła podając mi białą rączkę.

— Pani oczekiwałaś zapewne kogo innego—rzekłem patrząc jej prosto w oczy.

— Ja? wymówiła zdziwiona.

— Pan Emil dziś nie przyjdzie, jest cokolwiek słaby — kłamałem dla wywołania wrażenia: właśnie wydelegował mię... od niego idę...

— Doprawdy? słaby pan Emil? Musiał się zaziębić, wczoraj nie miał ciepłego ubrania, a w wieczór gdy wracaliśmy z ogrodu chłód był przejmujący — mówiła najswobodniej, podejmując robótkę.

— Panowie się znają? zapytała po chwili.

— Bardzo dobrze. Jesteśmy nawet przyjaciołmi.

— To bardzo zaszczytnie dla pana Emila.

— Lecz słowa pani nie przynoszą mu zaszczytu.

— Czemu proszę pana? Ja nie chcę ubliżyć panu Emilowi, lecz tylko uważam, że jeśli poważni i rozumni ludzie zwą się jego przyjaciołmi, to mu pochlebia.

Wejście rodziców przerwało naszą rozmowę, która mię bardzo nie zadowoliła. Tyle chłodu w określeniach i głosie, ani śladu rumieńca na licu... złe to oznaki!

Grzeczność państwa Gralińskich była z rodzaju najbardziej nużących: dostawszy gościa w obręb swej uprzejmości, zarzucali go komplimentami, karmili, poili, aż opierający się daremnie, przesycony niestrawnemi pokarmami dla ducha i żołądka, uczuwał się ociężałym, pognębionym, i jak zbawienia wyglądał chwili, w której mu będzie można bez nieprzyzwoitości zbyt krótkiej wizyty, pożegnać swoich amfitryonów. Mężnie przebywałem jednak te katusze, usiłując się przedrzeć na pole swobodniejszej z Filipą rozmowy. Zdawało mi się, że była zadumaną, wpatrywała się na swój niebiański sposób w dal... i tłomaczyłem sobie, że niepokój o Emila kryje się w jej zamyśleniu. Niecierpliwie czekałem jego zjawienia się, obiecując sobie wiele spostrzeżeń, gdy go ujrzy niespodzianie.

Wszedł — utkwiłem oczy w Filipie. Właśnie nalewała herbatę. Uśmiechnęła się, postawiła imbryczek na samowarze, i podając mu rękę rzekła:

— Pan Jerzy mówił że pan jesteś słaby.

— Spojrz pani na niego, czy nie wygląda na to? Blady, oczy zarząće, szepnąłem do niej.

— To prawda! i tkliwszy wyraz rozjaśnił jej twarzyczkę. Co panu jest panie Emilu? Siadaj pan, widocznie jesteś cierpiący...

— O! teraz mi dobrze zupełnie! wymówił dziękując jej wejrzeniem za trochę ciepła którego tak pożądał. I jakże mało potrzeba zakochanemu do zaślepienia i zmiany przekonań! Tegoż wieczora Emil po kilku godzinach przy niej spędzonych, mówił mi:

— Bluźniłem! to anioł, ona mię kocha, oświadczyłem się jej i przyjęła mię...

— I nie wątpisz już o jej sercu?

— Sam nie wiem... Wszak to dzieweczka młoda: może skromność tłumi na jej ustach wyrazy uczucia... może nieśmiałość wydaje mi się obojętnością... Ach! jaka ona piękna! jak ja ją kocham!

— Czy zwalniasz mię z misyi badania twej narzeczonej? spytałem będąc pewnym że wmawia w siebie przekonanie, którego nie powziął stale.

— Owszem, błagam cię, śledź ją jak najpilniej — zawołał żywo. Zawsze to zagadka... kto wie jakie myśli krążyły po tej kształtnej pochylonej główce, gdy milcząc słuchała mego wyznania... mogła to być zaduma niewinności... może... trzeźwy namysł nad praktyką życia, czy będzie ze mnie mąż odpowiedni i przyzwoity. Ah! toby było okropne, gdyby ta kobieta istotnie nie miała serca!

— Ale zkądże to podejrzenie? mówiłem dosyć miękko, bo sam po dzisiejszym wieczorze nieszczególne miałem o jej tkliwości wyobrażenie.

— O tem... mówił mi jeden z jej kuzynów, który dawniej starał się o jej rękę. Twierdził on, że Filipa przyrzekła mu miłość dozgonną a w dwa tygodnie potem, na żądanie swych rodziców którzy uważali kuzynka za mierną partyę dla jedynaczki, odesłała mu pierścionek najspokojniej zrywając z nim stosunki.

— Wierz ty odmówionym konkurentom! Toż najczęściej zemsta potwarz ciska.

— Tak i ja sądzę... Nie! ona zgadza się zostać moją, musi mię kochać, bo ja ją kocham nad wszystko, nad życie!

O tem nie wątpiłem — ale czy Filipa?... ha! to się okaże, szepnąłem sam do siebie po rozstaniu się z Emilem.

Kilka dni upłynęło, miałem dużo zajęcia osobistego, wychodziłem wiele i mój artysta zostawił tylko u mnie parę biletów wizytowych. Wieczorem, a był to dzień tygodniowego zebrania u rodziców Filipy, wybrałem się do nich, lecz w bramie mego mieszkania ktoś mię porwał w objęcia.

— To Józef! zawołałem rozpoznając barczystego wdowca. Czy do mnie idziesz?

— I tak, i nie. Gdzie dążysz? powiedz prawdę literacie!

— Do Gralińskich. Zwracam twoją uwagę że zwykle rzadko kłamię — nie potrzebujesz mię upominać.

— Wybornie! Właśnie mam cię prosić abyś mię wprowadził do nich.

— Do kogo?

— No! do Gralińskich!

— Ciebie?

— Poznajomiłem się z nimi na onegdajszej fantowej loteryi. Nie będę taił że Filipa zuch dziewczyna, podoba mi się ogniście — a jużby i czas było wziąść żonkę... Człowiek sam tetryczeje, dom się zaniedbuje, cóż ty na to?

— Chyba zapomniałeś co ci mówiłem kilka dni temu?

— Co? o tym chłystku artyście? Głupstwo! dla jakiegoś tam don Kiszota panna mnie nie zrekuzuje... Kamienica moja na Marszałkowskiej, wyrestaurowana jak cacko — kapitalik w banku dla pewności... no! i możebym nawet zapisał co dziewczynie, bo naprawdę nieszpetna i szykowna. Ale idźmy, sama pora teraz — dodał chwytając mię pod rękę bez ceremonji.

Zaledwo pohamowałem wzgardę i wstręt do tego grubego, trywialnego posiadacza kamienicy i kapitału. Przyszła mi jednak myśl:

— Ha! teraz poznamy Filipę...

I nic nie mówiąc wprowadziłem pana Piłsucia do saloniku państwa Gralińskich.

Na wstępie ujrzałem Emila z twarzą promieniejącą; odciągnął mię w kąt zaciszny między dwa oleandry, i opowiadał z zapałem, że jest najszczęśliwszym z ludzi.

— Wiesz, wczoraj skreśliłem jej cały obraz mej przeszłości... maleńki dworek mieszczański, gdzie babka siwowłosa uczyła sierotę pacierza, i uśmiechała się do pierwszych bazgrot dziecinną ręką węglem na ścianie mazanych... jak zacny proboszcz dogodził najgorętszemu pragnieniu chłopięcej wyobraźni, przywiózłszy mi pudełko ołówków i zwój papieru z Warszawy... Jak ciężko musiałem walczyć z losem, z niedostatkiem, z pochodzeniem nizkiem w pojęciach głupich a tak licznych pyszałków świata, nim zdołałem wyrobić sobie byt materyalny, uznanie moralne... nim mogłem zamarzyć o szczęściu, które śmiało rzec mogę, że wysłużyłem sobie wśród trudu i bólu...

— I cóż ona na to?

— Miała łzy w oczach... czy może być co wymowniejszego?

— Zapewne... Czy wasze zaręczyny są już jawne?

— Nie... jeszcze czas na formy świata. Upajam się i rozkoszuję w ciszy tą pewnością że ona przyrzekła być moją... jak skąpiec kryję mój skarb w tajemnicy.

— I jesteś już spokojny o jej serce? spytałem machinalnie błądząc okiem po saloniku, gdzie zbierały się pary do tańca i między nimi stała Filipa obok Józefa Piłsucia.

Potarł ręką szerokie czoło.

— Nie budźże mnie — szepnął namiętnie — czy nie widzisz żem własnem uczuciem pijany żem ci mówił że jestem szczęśliwy... Nie wskrzeszaj furyi co mię dręczyły tak długo...

Ona cię pewnie kocha... powiedziałem z mimowolnem westchnieniem, bo czu'em się dziwnie rozdrażnionym i smutnym. Każdy ruch, każde odezwanie się grubego Piłsucia działało mi na nerwy, i słuchając Emila ciągle tamtego miałem na myśli; ciągle dzwoniły mi w uszach tamte pospolite wyrazy, tak odmienne od wynurzeń poetycznej duszy artysty, jak jest różnem marzenie od rzeczywistości.

W połowie wieczoru tak byłem znużony, że wymknąłem się cichaczem i pojechałem do domu.

Nazajutrz rano telegram od siostry powołał mię do śmiertelnego łoża jej małżonka. Bezzwłocznie pospieszyłem do nich, i kilka miesięcy minęło, nim załatwiwszy się z obowiązkami opiekuna, przybyłem znów do Warszawy. Niespokojna ciekawość natychmiast mię pociągnęła do Emila. Wypadało mi przechodzić około mieszkania Gralińskich. Kilkadziesiąt karet zatamowało mi drogę; z bramy ich domu, wychodził strojny orszak.

— Trafiłem na wesele! pomyślałem, i uniesiony chęcią ujrzenia Emila, nie zważając na swe podróżne ubranie, podsunąłem się co najbliżej.

Filipa w powiewnej zasłonie, prowadzona przez dwóch dygnitarzy biurokratycznych, zamyślona lecz pogodna jak jutrzenka, zstępowała powoli ze wschodków.

Tuż za nią w towarzystwie drużek ukazał się pan młody. O Boże! czy mię wzrok zwodzi — nie! to Józef Piłsuć!

W kilku minutach dobiegłem do mieszkania Emila — służący mię wpuścił do ciemnego pokoju, w którym na łóżku, wynędzniały, zmieniony, z obłąkanem gorączką wejrzeniem, leżał biedny artysta.

— Tyfus panie! okropny tyfus — rzekł felczer poprawiając poduszki chorego.

— Bez serca!.. szeptał Emil nieprzytomnie — bez serca!...

. . . .

Gdy po kilkunastu dniach spędzonych przy walczącym ze śmiercią przyjacielu, uspokojony że żyć będzie, lecz pełen obawy jakiem będzie to życie złamane, powróciłem do mego cichego ustronia — na kartce mojej księgi notatek zapisałem następującą uwagę:

Są kobiety z pozorem anielskich niewiniątek, łagodne, ciche, niezapalające się nigdy, nieobjawiające swego zdania, miluchne jednako dla wszystkich bez wyraźnej kokieteryi, z układem niezmiernie powściągliwym, z wiecznym uśmiechem na nieco wązkich wargach blado-różowych... Słuchają one z jednostajną twarzą wyznań kochanka, rachunku swej służącej, muzyki Chopina i turkotu kół po bruku.

Ludzie łudzą się i spokój ten, łagodność, przypisują czystości serca i prostocie duszy niewinnej...

Strzeżcie się tych potulnych, tych słodkich, tych milutkich, to nie spokój utrzymuje w tej naturze taką doskonałą, marmurową bezbarwność — to nie przez nieświadomość zdają się być nieprzystępne wszystkiemu co zwie się namiętnością, uniesieniem, zapałem... co jest często niezaprzeczenie powodem wielu błędów, lecz częściej zaletą i wyrazem duszy naszej, zdradzającym ognisko świętych uczuć złożonych w naszem łonie... coś, co jest różnem od zwierzęcych organizmów, co nas czyni godnymi szlachetnej nazwy człowieka...

Strzeżcie się takich typów niewieścich — nierzadkich u nas niestety! to są straszne, wstrętne potwory, moralne kaleki — kobiety *bez serca.*

Jerzy H.

Chcesz znowu wierszy.

Do ***

Chcesz znowu wierszy — powiedz mi dwa słowa
O które błagam tak dawno, zbolały,
Poezyą będzie wtedy moja mowa
Bo niebem dla mnie stanie się świat cały.
Lecz póki chłodną przyjaźni jałmużną,
Płacić mi będziesz za mój zapał święty
Z jakim do ciebie przemawiam naprożno,
Przeklęte wiersze — poeta przeklęty!

Dwa miesiące, dwa wieki.

Dwa miesiące w dziewicy sercu — to dwa wieki,
U niej uczucie stałe — jako woda rzeki.

SERCA DZIEWIC.

Serca dziewic — to morze, co w niem jest któż zgadnie?
Uczucie w sercu dziewic — jako perła na dnie.

POGADANKA.

Karnawał, król zabawy, na którego dworze wesołość jest ministrem, przyjemności wszelkiego rodzaju doradzcami, ów protektor i kojarzyciel małżeństw, ideał uciechy panienek, dobroczyńca kupców, modniarek, sankarzy i ubogich o których wśród szału radości nie zapomina przynosząc im hojną jałmużnę—karnawał, owo bóstwo uśmiechnięte, dzierżące róg obfitości z którego leci mnóstwo przysmaków uprzywilejowanych, jako to: pączki, faworki, cukry, lody, kolacye, zdrój napoju zastępującego nam nieoszacowanych przymiotów starożytną wodę Lety — karnawał, świetniejący w ciągu swego panowania tysiącem szat barwnych, przybierający coraz piękniejsze kostiumy, tchnący życiem, młodością, chęcią używania — słowem karnawał, jaki słynie w pieśni, w opowieściach, we wspomnieniach, obecnie (a nie od tego roku dopiero), okazuje się, że albo całkiem zmienił naturę, lub poprostu przeszedł do tradycyi, wraz z innemi charakterystycznemi obyczajami narodu.

Jakiż bo teraz karnawał u nas? miły Boże! z wesołości podobny zupełnie do naszych pism humorystycznych, *idem* do śledziennika, chorującego od tłustych potraw na niestrawność — z urozmaicenia zabaw do szeregu anegdotek pana Jowialskiego, z hojności, do bankruta, od którego biorąc za coś rubla, przeczuwa się, że on może być ostatni. A owe cele matrymonialne wywietrzały kompletnie z głowy, jak skwaszonemu chuderlakowi, co z domu gdzie się zbierze uczciwe i porządne towarzystwo, wymknąwszy się skwapliwie dąży na balik przyjacielski lub do Tivoli na maskaradę. Zamiast sprawozdań z zabaw, czytamy wszędzie dociekania przyczyn dla których się nie bawimy?

Odpowiedzi na to pytanie znajduje się wiele trafnych, bo dyagnoza tu nie trudna. Ale przyznając że ogólny brak pieniędzy sprowadził życie nad stan, a następnie zatrzymanie kredytu, zadało ostateczny cios zwolennikom karnawałowych igrzysk, powinnibyśmy zwrócić naszą uwagę, a nawet usiłowania na fakt następujący:

Zabawa, równie jak spoczynek, którego jest młodszą, ożywioną siostrą, należy się koniecznie każdemu człowiekowi co dba o swe moralne i fizyczne zdrowie. Równie jak słońce, jak świeże powietrze, rozrywka działa zbawiennie na ustrój nasz umysłowy, podtrzymuje naszą energię, równoważy nieuniknione przykrości które wpływają na usposobienie. Uśmiech na młodej twarzy jest tem co świeżość kwiatu, naturalnym powabem, bez którego kwiat i twarz są chorobliwie zwiędłe. Trzeba więc tylko mimo i wśród okoliczności tamujących dotychczasowe źródło zabawy, pomyśleć o innem, z którego by też czerpać można. A wiecie gdzie ono zawarte? Oto w waszych główkach rozsądnych, sercach poczciwych i dobrej woli, zechciejcie tylko zbytek zastąpić umiarkowaniem, jedwabie i koronki muślinem, perkalikiem a kwieciem krajowego wyrobu — olbrzymie fryzury skromnem uczesaniem własnoręcznem, a jeśli to już naprawdę w naturze waszej, że się lubicie przesadzać i przewyższać w ubiorze jedna drugą, dogódźcież swej ambicyi, przesadzając się i przewyższając w pomysłach co do taniości, praktyczności, a gustu w ubraniu. Gdyby np. znalazła się między wami matka, któraby swe hoże i miłe córeczki przybrane w sukienki perkalikowe, wprowadziła w taneczne koło, czy sądzicie że przyniosłoby im to ujmę, że mniej przez to bawiłyby się, że zraziłyby młodzież mającą na celu staranie się o ich względy? O! przeciwnie.

Nieraz zdarzyło nam się słyszeć utyskiwania przeciw wymaganiom kobiet, które rujnowały byt i przyszłość rodziny, obarczając dozgonnego towarzysza takim ciężarem wydatków, że pomoc własna nie wystarczyła, a zdradliwa pomoc przyjaciela lichwiarza, wkrótce do reszty wtrąci ich na dno nędzy i rozpaczy. Nieraz także, młodzian żywiący w sercu najlepsze zamiary, wyrzec się ich musi w obec przewidywania że ideał jego, przywykły do zbytkownych wymagań nie zadowoli się tem, na co się zdobędzie jego praca i staranie. Lecz tego zarzutu, że naganną jest skromność ubiorów i praktyczność wychowania w młodej kobiecie, nikt jeszcze nie wygłosił, uważając to za prawdziwe a rzadkie przymioty.

Z podwyżką cła od zagranicznych towarów, tem bardziej przybywa powodów użytkowania wyrobów krajowych, więc i podniesienie przemysłu naszego, i ożywienie zabawy, i zabezpieczenie bytu rodzin, i zbawienie od swarów bardzo częstych przed jakim balem, pochłaniającym pokaźne sumy. Wszystko to w waszych jest rękach, rodaczki nasze! Wy jedne możecie odrodzić zamierającę prawa karnawału, do was, jak zazwyczaj we wszystkich kwestyach mających za cel ulepszenie towarzyskich obyczai, zwracamy się z nadzieją pożądanych rezultatów.

Tylkoż — oby znów nie skończyło się na projektach; bo pochopność do projektów i obietnic bez wytrwania w przywiedzeniu ich do skutku, leży cokolwiek w naszym charakterze, niestety! Np. ileż to razy we wszystkich pismach poruszano kwestyę smutnego losu szwaczek; ileż ubolewań i planów przewinęło się w szpaltach dziennikarskich, i... cze-

kaliśmy dotąd. Ale czekanie łatwo przychodzi tylko tym, co obżałowania piszą, lecz nie tym którzy powodują obżałowanie.

A reżyserya dramatu i komedyi, alboż nie obiecuje nam mnóstwa nowości, nie opowiada wszem w obec i każdemu z osobna za pośrednictwem *Kuryerów*, *Echa*, *Antraktu*, co za mnóstwo sztuk niepośledniej wartości przygotowuje do wystawienia — a tymczasem...

Tymczasem dano nam „Nitkę jedwabiu" dość pstrą pod względem dowcipu, bardzo słabą w tendencyi, która nie utrzymałaby sławy pisarskiej, gdyby nie wzmocniło jej wiele innych prac, istotnie zasługujących na uznanie. Ale bodaj to być zagranicznym autorem! choćbyś lichą farsę napisał, to ci ją w gościnne dla obcych podwoje naszego teatru przyjmą, wybornie obsadzą, zareklamują, a krytyka z delikatnością dla gościa z obczyzny, zlekka czyni uwagi, głaszcząc ledwo tym skalpelem, którym zagłębia we wnętrzności utworów oryginalnych, płatając je i rżnąc na wszystkie strony!... Nie ustajemy też w zabiegach, gdy się tylko pojawi jaka nowość w Paryżu, by przesadzać ją corychlej na nasz grunt, nie badając wcale czem się usprawiedliwi tę skwapliwość przyswajania nędznych częstokroć robót nieczystego pióra, lecz gdy domorosły choć utalentowany autor przedstawi swą pracę, o! łatwiej zaiste będzie wielbłądowi przejść przez ucho od igły, niż jemu wkroczyć w dziedzinę sceny i wytrzymać sądy krytyków podobnych smokowi strzegącemu jabłka z ogrodu Hesperyd, gotowych zawsze rzucić się na śmiałka co po toż jabłko reprezentujące sławę sięgać się odważa. Np. konkursa Krakowski i tutejszy zaleciły w przeszłym roku kilka sztuk do grania — wszakże konkursa podobno za racyę bytu mają rozkrzewianie i wspomaganie swojskiej literatury dramatycznej? Wiemy o tem wszyscy, ale od czasu wyroku konkursu, któż posłyszał cokolwiek o dramacie „Czaple pióro" Starzeńskiego, „Iwon Podkowa" Horwata, o komedyach „Trzy Flory" „Blaga" i „Dwie Miary". Spoczywają one zapewne w tekach autorów lub na półkach biblioteki teatralnej, a reżyserya nawet nam w tym razie nic nie obiecuje.

Oprócz Nitki jedwabnej z lichej uwitej tkaniny, teatr obdarzył nas nowością tym więcej pożądaną że oryginalną, komedyą p. Kazimierza Zalewskiego p. t. *Złe ziarno*. Jest to utwór na czasie, wykazujący plon z zasiewu złego ziarna rozrzucanego hojną ręką przez rozszalałych półgłówków pychą własnego .....niedołęztwa, którym gwałtem się zdaje, że świat dopiero przez nich rozbudzony został do życia. Myśl zatem dobra, przeprowadzona w wielu scenach z życiem prawdziwie dramatycznem, publiczność utwór p. Zalewskiego przyjęła z gorącym zapałem, oklaskiwała, przywoływała artystów i autora, a jednak znalazły się niesforne duchy, co wyłączając się z ogólnej harmonii, chciały gwałtem przytłumić i wyszydzić oznaki ogólnego zadowolenia. Przykre to niezmiernie wspomnienie! Zapomniano co Krasicki włożył w bajce w usta żaby karcącej dziatwę za godzenie w nią kamieniami:

Dzieci, źle się bawicie,
Dla was to jest igraszką, nam idzie o życie.

Słychać też o projekcie pomnika dla nieodżałowanej pamięci i prawdziwych zasług niedawno zmarłej autorki naszej Narcyzy Żmichowskiej (Gabryeli). Wzniosła ona już sama pracami swemi przecudny pomnik swej chwały, lecz wdzięczność ludu którego była dziecięciem i chlubą, powinna ozdobić miejsce wiecznego spoczynku natchnionej poetki, kamieniem grobowym z gałązką niewiędniejącego lauru. Oby tylko i tym razem nie skończyło się na... obietnicy.

WRAŻENIA Z PODRÓŻY

po Szwecyi i Norwegii.

przez **Alberta Vandal.**

(Streszczone przez J. B.)

(Ciąg dalszy).

Obok szczątków starodawnego pałacu królewskiego, ciągnie się dość obszerna piaszczysta platforma, w około której wznoszą się bardzo niepozorne domki. Jest to rodzaj forum norwegskiego. Tu pod gołem niebem zbierały się zgromadzenia narodowe; tu lud zbrojno naradzał się, głosował prawa, wymierzał sprawiedliwość, stanowił o pokoju lub wojnie. Pierwotne te parlamenta, obywały się bez nakazów konwokacyjnych; laska pokryta runicznem pismem, z rąk do rąk przechodziła po wsiach, zwiastując zebranie się *Ore-thing'u*. Gdy już zgromadzenie zebrało się, i ktoś z członków, choćby nawet sam król, wystąpił z jakimś wnioskiem przeciwnym prawu, dość było aby jeden tylko z obecnych wykrzyknął starodawne *Haro*. Jedno to ludowe *veto* zniewalało do cofnięcia wniosku, który już nie mógł być rozbieranym. Przed temi zgromadzeniami narodowemi, odbywały się także próby przez ogień i wodę oraz walki sądowe. Król przewodniczył Ore-thing'om, ale nie wywierał żadnej władzy, owszem sam podlegał wybrykom ludowym. Zdarzało się że wśród zawziętych sporów, mówcy chwytali za miecze i rozprawa zamieniała się w bitwę.

Dawniej groźne szańce otaczały Trondjem, dziś miejsce ich zajęły dobrze uprawne kwieciste łąki, dzięki którym nazywają miasto „Ogrodem Norwegii". Pod miastem sterczą jeszcze ruiny starożytnej cytadeli; na jednej z wysp fiordu, naprzeciw miasta, wznosi się klasztor zamieniony później w fortecę i więzienie stanu, nosi on nazwę Munckholm, co znaczy „skała mnichów". Jest to ulubiony spacer mieszkańców. W środku tych ruin sterczy jeszcze chwiejąca się wieża, w której szczycie widać małe okienko opatrzone zardzewiałą żelazną kratą. Oprowadzający nas żołnierz, wskazał na nie ręką, mówiąc: *Schumacker!* Nazwisko to posępne przywodzi wspomnienia. Na tej skale w tej wieżycy, męczył się przez lat dwadzieścia trzy jeden z tych ludzi których los zdaje się dla tego tylko stawiać u szczytu wielkości, aby straszniejszym uczynić upadek.

Schumacker urodził się gdzieś na poddaszu w Kopenhadze, a jednak został ministrem, hrabią, prawie królem. Żył on właśnie w tej epoce kiedy u jednych tylko ludów skandynawskich, a mianowicie w Danii, arystokracya zachowała swój urok i swe przywileje. Schumacker wypowiedział jej śmiertelną walkę. Broniąc prerogatyw królewskich, minister utwierdzał własną swoją władzę. Duński ten Richelieu nie przestając na tem że jak niegdyś sławny kardynał upokorzył możnych, zapragnął jeszcze ich poniżyć. Siadł na stopniach tronu i rządził samowładnie pod nominalnem panowaniem słabego Krystyana VII, a nadto miał poślubić dziewicę z królewskiego rodu, gdy nagle pośliznęła mu się noga. Zuchwałe szczęście zgotowało mu upadek, którego dokonało sprzysiężenie pałacowe. Został oskarżony o zdradę państwa i skazany na śmierć. I w tej strasznej chwili nie opuściła go niezłomna siła charakteru: szedł na stracenie z dumnie podniesioną głową. Wstąpił pewnym krokiem na stopnie rusztowania i już kat podniósł miecz nad jego głową, gdy nagle z pośród niezliczonego tłumu który zawsze wielbił i przyklaskiwał Schumacker'owi, jako jednemu ze swoich, odezwały się tysiączne okrzyki: „Ułaskawienie! Ułaskawienie"! Oficer z rozkazem królewskim przedarł się przez tłumy; Krystyan VII zamieniał karę śmierci na dożywotnie więzienie.

Zamknięty w wieży w cytadeli Munckholm, Schumacker z okna swego więzienia, przez lat dwadzieścia-trzy wpatrywał się w widok który mógłby przyprawić o spleen najweselszy nawet umysł. Pewnie też biedny Schumacker, nieraz musiał przeklinać tę monarszą łaskę!

Wróciwszy do Trondjem, zastaliśmy ludność wyległą na ulice miasta, aby odetchnąć świeżem powietrzem po skwarnym dniu lipcowym. Mieszczanie siedzieli na progach domów czytając gazety wyszłe od dni czterech w Chrystanii; jedni rozprawiali, drudzy śmieli się wesoło, ale bez wybuchów i krzyków, tylko nieco przeciągłym głosem.

Przybywszy do Trondjem trzeba stanąć w hotelu angielskim, ale koniecznie zwiedzić oberżę norwegską. Po kilku stopniach schodzi się do podziemia, trzymającego środek między piwnicą a salą jadalną. Obłoki dymu zbierają się pod sufitem; w około stołów siedzą marynarze, mieszczanie, wieśniacy, palą fajki, jedzą i piją w milczeniu. Na rodzaju komtoaru sterczą piramidy ryb świeżych, sterty mięsa wędzonego, a obok nich duże naczynie pełne czerwonego pieprzu; w środku fontanna z której tryskają obfite strumienie napojów spirytualnych. Każdy biesiadnik sam ile chce kładzie sobie na talerz, posypuje suto czerwonym pieprzem, zjada, popija potem siedzi spokojnie jakby dla strawienia swego obiadu.

Z pierwszego wejrzenia Norwegczyk wydaje się nadzwyczaj małomównym i zimnym; nigdy się nie śmieje i rzadko kiedy płacze. Wszelkie wzruszenie kryje w sobie w milczeniu, i zdaje się jednakiemi tonami oznacza radość i niezadowolenie. Jeśli nie znając ich języka, słyszemy Norwegczyków rozmawiających, niepodobna odgadnąć czy słowa ich wyrażają radość czy boleść.

W rogu pokoju w którym zajęliśmy miejsce z jakie trzydzieści osób siedziało przy jednym stole. Z jednej strony, przy końcu stołu, siedziała młoda kobieta biało ubrana, obok niej tęgi jakiś chłopak, jak się zdawało mąż czy narzeczony. Na przeciwnym końcu zasiadł mężczyzna osłonięty aż pod brodę jakąś czarną opończą; na obu rękach, za łokciem, miał nawiniętą czarną krepę; siedzący obok i blizko niego, także w żałobne przybrani byli szaty. I inni współbiesiadnicy zajadali z apetytem wielkie porcye z zastawionych półmisków, pili dużo i milczeli; nie widać w ich twarzach ani wesołości ani smutku, tylko zajęcie się obiadem. Ani podobna poznać czy to biesiada weselna czy stypa pogrobowa, który to zwyczaj po dziś dzień przechował się w Norwegii. Zaciekawieni, zapytujemy oberżysty który mówił trochę po angielsku: czy to stypa czy uczta weselna? „Jedno i drugie razem, odpowiedział; biesiada ta wyprawiona jest wspólnym kosztem dwóch sąsiadów, z których jeden onegdaj stracił żonę, drugi zaś wydaje dziś córkę za mąż za siedzącego obok niej młodzieńca. Jako dobrzy sąsiedzi i przezorni ojcowie rodzin, korzystali z tej sposobności aby wspólnym kosztem wyprawić pogrzeb i wesele: mniej zachodu a taniej ich kosztuje".

Chcąc z Chrystyanii udać się do Trondjem, to jest z nowej stolicy do starodawnej metropoli, trzeba przebywać łańcuch Dovre-Field, to jest „góry Dovre", przesuwać się około stóp najwyższego jej szczytu, zwanego Suoehattan czyli *Kapelusz śniegowy*. Z Trondjem urządzono kawałek drogi żelaznej, dążącej ku drugiemu podobnemu ułamkowi, zbudowa-

nemu między Chrystyanią a krańcem jeziora Mjösen. Obie te drogi nie mają nawet trzydziestu mil długości; chcąc je połączyć trzebaby poprowadzić bardzo długą linię obwodową około Dovre-Field lub przebić tę górę, o czem trudno myśleć.

Z Trondjem odjechaliśmy koleją żelazną wijącą się po różnych zakrętach, wierzchołkach wzgórz, po nad przepaściami i przez rozsadzone prochem skały, zatrzymujemy się nareszcie w lesie u pochyłości góry. Ztąd już tylko kariolką podróżować można, chcąc się dostać w górskie strefy, gdzie jeżą się szczyty Dovre'u.

Jakby nie chcąc zrazić wędrowca, olbrzym przedstawia się z początku bardzo spokojnie. Najpierw ujrzeliśmy lesistą dolinę, którą drzewa osłaniały od lodowatych wiatrów wiejących od morza; dęby, buki, jesiony wznoszą wysoko piękne swe korony. W załomku góry biegnie mały strumień wody, którego cichy szmer mile pieści ucho. I tu, równie jak w Szwecyi, nie ma wiosek, tylko w pewnej od siebie odległości ukazują się fermy norwegskie, kryjące się wśród zieleni. Każda rodzina żyje odosobniona w swoich posiadłościach, jakby w małem państewku. Cztery lub pięć małych domków składajacych gaard grupują się około większego, niby pałacu naczelnika klanu, po nad którym wznosi się śpiczasta rzeźbiona drewniana strzała, niby wieżyca tego miniaturowego grodu. Tuż obok widać dzwon zwołujący służbę gdy nadejdzie godzina posiłku, a wszystkich mieszkańców rano do pracy, wieczór na spoczynek.

Każdy domek zbudowany jest w kształcie szaletów szwajcarskich; pod gzymsem wije się jak wstęga pas ozdób snycerskich; okna strojne w balkony, a w jednym rogu budynku biegną ku górze kręcone ażurowe wschody. Lekkie te budowle stoją na podstawach z grubych desek, opierających się na kamieniach; podstawy te mają po 20 stóp wysokości. Podczas lata parter służy za składy i magazyny, ale w ciągu zimy to jest przeszło przez ośm miesięcy, śniegi zawalają wejście i jakby całunem opasują do koła. Grube warstwy śniegu twardnieją, wyrównywają się i tak łączą z gruntem, jakby jedną tworzyły całość. Gdy w lecie opadnie ta śniegowa szata, domy wyglądają jakby obnażone i ukazują swe fundamenta.

Szczególniej dachy tych domów zwracają uwagę wędrowca. Skały zaledwie tu i owdzie po kilka zagonów ziemi zdatnej do uprawy zostawiają Norwegczykom, to też radzą sobie w ten sposób iż nasypują ziemię wegetacyjną na dachy domów od strony słońca, poczem zasiewają tę sztuczne pola i zbierają plony. Trzeba wielkiej zręczności aby żąć to powietrzne zboża.

Podczas gdy służba pracuje a kobiety skazane tu na najcięższe trudy i prace jak u pierwotnych ludów, orzą, uprawiają rolę, młócą zboże, doglądają i czeszą zgrzebłami konie, ojciec i władca rodziny, pan-wieśniak, jak sam siebie nazywa, siedzi najczęściej na progu domu i puszczając kłęby dymu z kolosalnej fajki, rozgląda się spokojnie po swojem państwie. Nosi on *chines* wełniane pończochy, wycięte trzewiki z metalowemi sprzączkami, i krótkie spodnie. Suknia z szerokiemi połami i wywiniętym kołnierzem, z pot której wygląda haftowana kamizelka, przypomina strój francuzki z czasów Ludwika XV. Tak więc ubiór jest czysto arystokratyczny, ale za to nakrycie głowy całkiem rewolucyjne; jest to coś jakby frygijska czapka wolności lub sansculottów, czapka czerwona wełniana, dziwnie odbijająca od dworskiego niemal stroju.

Gdy się zbliży do „pana-wieśniaka" żądając koni lub noclegu, powita on przybysza dumnie i jakby serdecznie zarazem; podaje rękę i pokazawszy pokój podróżny, często dość wygodny a zawsze połyskujący porządkiem i czystością, zaprasza zaraz do własnego mieszkania. Wprowadza gościa do wielkiej sali, w której wieczorem zgromadza się cała rodzina; tu nie jest już pocztmistrzem ani oberżystą, ale gospodarzem domu. Wszedłszy do tej sali, znalazłeś się odrazu w łonie starodawnej Norwegii, w świecie unieruchomionym od wieków, niewzruszonym a jednak żyjącym, bo myśli, wierzy i działa, ale jak nauczyli go myśleć, wierzyć i działać jego naddziadowie. Stare stojące tu sprzęty, budziłyby podziw i zazdrość zbieraczy starożytności; przesadzaliby się w cenie byle je posiąść. Łóżka z kolumnami i baldakinami, kosztownie rzeźbione i kolorowane skrzynki, kredensa dopasowywane do ścian, stoją do koła.

Dwie ramy zawieszone naprzeciw siebie zajmują honorowe miejsce; w jednych mieści się zawsze portret króla, *der Kong*, jak mówią Norwegczycy, w mundurze wojskowym, w drugich egzemplarz Konstytucyi, którą przedstawiciele narodu, po większej części wieśniacy, zagłosowali w Eidsvold w 1814 r. Każdy wieśniak umie na pamięć tę konstytucyą którą zaprzysiągł Bernadotte i jego następcy.

Polityczna organizacya Norwegii, jest bardzo zbliżona do organizacyi szwajcarskiej; tworzy ona federacyą rodzin. Pod panowaniem duńskiem, Norwegia nie istniała jako naród, uszanowano jednak niezależność jednostek i kantonów. Tak Szwajcarowie jak Norwegczycy uważali zawsze iż swobodne załatwianie spraw miejscowych, jest zarówno prawem jak obowiązkiem każdego.

Zasiadłszy w gronie rodziny norwegskiej przed suto płonącem ogniskiem, widzimy iż gospodarze pilną na nas zwracają uwagę, przyglądajac się przybyszom z tak dalekiego kraju. Norwegczycy są wysocy, silni, muskularni; włosy mają blond wpadające w czerwonawe, wszyscy noszą ogromne łączące się pod brodą faworyty. Z powierzchowności podobni są do Amerykanów, tylko więcej mają że tak powiem, pańskości a mniej pewności siebie. Norwegianki nie zalecają się gracyą ani wiotką postawą; w pierwszej młodości cera ich jaśnieje olśniewającym blaskiem, lecz prędko bardzo ciemnieje i grubieje, jednak zawsze widać w twarzy siłę i zdrowie. Są uprzejme i łagodne, mają obejście przyjacielskie podróżnemu mówią *ty* uważając go jakby za brata. Matka rodziny czuwa nad gospodarstwem, wydaje rozkazy służącym, dogląda przygotowań do biesiady, jakby jenerał kierujący bitwą bez brania w niej udziału. Jej dorosłe i silne córki pełnią służbę adjutantów. Gromadka dzieci uwija się po pokoju, przyglądając nam się z pod oka. Cała rodzina, mężczyźni, kobiety, dzieci mają cygara w ustach; u ludów skandynawskich palenie przeszło w namiętność, usposabia ono do tego rozmarzenia będącego farniente'm Północy. Norwegczyk nie powie: „Czekałem dwie godzin" ale „paliłem dwie godzin;" Norwegianki zaś tak zamiłowane są w cygarach jak rozpróżniaczone Kreolki w Hawannach.

W Bjerkaker przyroda inną przybiera postać, stajemy tu u progu właściwego Dovru. Przed nami sterczą całe szeregi groźnych szczytów; powoli i z trudnością wdzieramy się na grzbiet góry. Sosny pochylone nad przepaścią, osłaniają jej głębie; szmer strumienia dochodzi nas tylko jakby odległe echo. Przebywamy chwiejące mosty, których monopol zachowała sobie Norwegia, są to nieobciosane pnie sosnowe poukładane jeden przy drugim i połączone z sobą łykiem łoziny. Grunt po którym koń nasz stąpa, przedstawia obraz zupełnego spustoszenia; potyka się on co chwila o korzenie wystające z pośród skał. Blade brzozy wyglądają jak widma wyciągające do nas ramiona; zamiecie śniegowe pędzą po ziemi z ostrym świstem. Gęsta mgła zasłania nam wysokie szczyty łańcucha gór; mgła ta, jakby przedarta w niektórych miejscach, dozwala widzieć śnieżyste iglice lub pomarszczoną powierzchnię lodnika. Niekiedy mgła ta rozsuwa się i opada nagle i wtenczas spostrzegamy świetlane horyzonty, świetne perspektywy oświetlone niewidzialnem dla nas słońcem i ławice lodowe jakby murem djamentowym zamykające horyzont. W takich chwilach zapominamy o nużącej piętnasto-godzinnej podróży, o przenikającem nas zimnie; nie myślimy o jakiejś fermie w którejbyśmy na noc znaleźli schronienie, wpatrujemy się w posępną ale wspaniałą przyrodę którą odznacza podwójny majestat: Góra i Północ.

Nareszcie dojechaliśmy do małej fermy przyczepionej do skały, po nad jeziorem, tu zatrzymaliśmy się na noc.

Nazajutrz powietrze było czyste, wiatr rozegnał chmury; wiekuiste śniegi błyszczały od słońca, promienie jego rozjaśniałyby krajobraz, gdyby podobna było strefy te uczynić weselszemi. Wdzieramy się wyżej przez wąwóz po nad Drivą. Miejscowość tę, równie jak dolinę Chamunix i wąwóz Balme, możnaby zaliczyć do najwspanialszych zjawisk przyrody. Driva bierze źródło w lodnikach Dovre- Field; płynie między dwoma ścianami granitu i gniewając się że jej zagradzają drogę, uderza o nie, rozbija, rzuca w powietrze i stacza odłamy skał i nareszcie wpada w bezdenną otchłań między dwoma filarami bazaltu do siebie zbliżonemi, a górale bawią się przeskakiwaniem z jednej strony na drugą.

Stanąwszy z największem znużeniem u kulminacyjnego punktu wąwozu, sądziliśmy że trzeba będzie spuszczać się, gdy w tem roztoczyła się przed nami niezmierzona płaszczyzna czarna i błotnista; znajdowaliśmy się o cztery tysiące stóp po nad morzem. Jechaliśmy w milczeniu przez tę ponurą płaszczyznę zarzuconą piaszczystemi wypukłościami; ani jedno drzewko się nie pojawiło aby ożywić monotonną perspektywę: to Laponia na szczycie Alp skandynawskich. Tuż obok drogi płyną strumienie i rzeki, błyszczą jeziora zupełnie prawie jednakowe; ale w ich wodach nie ma ani jednej rybki, nad wybrzeżami nie rośnie ani źdźbło trawy. Mijają godziny jedna za drugą, tak samo nieubłaganie następują po sobie stepy; przyroda norwegska objawia nam się ze swą wyłączną cechą wielkości mimo jednostajności. W Norwegii wszystko olbrzymie przybiera rozmiary; strumienie są tu rzekami, kaskady kataraktami, doliny mają po ośmdziesiąt mil długości a dziesięć mil szerokości.

Stanąwszy na pochyłości, widzimy u stóp naszych piękną dolinę Gulbrandsdal; rzuconą jakby zielony kobierzec. Na niej wznoszą się zabudowania mieszkalne, lasy i wody. Gulbrandsdal przypomina Norwegczykom drogie patryotyczne wspomnienie.

Na dolinę tę wtargnęły na początku XV-go wieku napastnicze hufce szkockie, pod dowództwem pułkownika Sainclair; wylądowali w Romsdal i posuwali się naprzód, chcąc iść na pomoc Szwedom, także wtedy wrogom Norwegii, którzy oblegali miasto Opslo, starożytną macierz młodej Christianii. Szkoci szli wązkim wąwozem; skały sterczały nad ich głowami. W tem nagle dał się słyszeć jakby ryk rozwścieczonej góry, skały zadrżały w swych podstawach, zachwiały się, zapadły i zgniotły najezdników. Wieśniacy Norwegscy podkopali skały i przygotowali tym sposobem ich oberwanie się i Szkoci

zamiast zdobyczy grób tu znaleźli. Ani jeden nie wrócił do Edimburga, zawiadomić o strasznej klęsce.

Kariolka nasza puszczona galopem, pędziła teraz jak wiatr po spadzistej drodze i nareszcie stanęliśmy w dolinie gdzie pasło się bydło i pracowali rolnicy; wysiedliśmy przed progiem gościnnej fermy Dombaas. Po podróży do krainy Tytanów, zatrzymaliśmy się na granicy ziemskiego raju.

(*d. c. n.*)

Zakład rękodzielniczy dla kobiet.

Przeszłego roku złożyliśmy Sprawozdanie z działalności Zakładu rękodzielniczego dla kobiet, mieszczącego się przy Placu Zielonym Nr. 10 w domu Hr. Zamojskiego. W obecnym czasie coraz cięższe okoliczności warunków życia i wynikająca ztąd potrzeba wyrobienia sobie niezależnego stanowiska własną pracą sprawiły, iż ogół coraz więcej zaczyna czuć potrzebę walczenia własnemi siłami o byt, dla tego też i kobiety chętniej, w pewnym przynajmniej zakresie, garną się do samodzielnych trudów. Zarząd zakładu stara się ciągle dopomagać tym z pracownic które ulegając prądowi postępu pragną wstąpić na tę ciężką nieutorowaną jeszcze drogę, ułatwia im pierwsze kroki do zwalczenia zastarzałych przesądów prowadzące i stanięcia wraz z mężczyznami na polu pracy rękodzielniczej. Owoce tej działalności wszędzie prawie widzieć się dają. Uczennice które ukończyły kursa rzemiosł otworzyły już w Warszawie trzy pracownie rękawiczek, cztery introligatorstwa, trzy kwiatów sztucznych i ośm pracowni sukien damskich; inne zajmują się robotami w domach, i odnoszą materyalne korzyści z nabytych wiadomości. Na prowincyi takie pracownie jak np. rękawicznicza w Radomiu, kwiatów sztucznych w Łomży, Lublinie i Białej, introligatorska w Lublinie, Płocku, Częstochowie, Radomiu, Piotrkowie i Kaliszu powstały z inicyatywy Zakładu. Nadto w Cesarstwie otworzone zostały przez uczennice jego pracownie sukien damskich w Smoleńsku, Berdyczewie, Białej Cerkwi, Kremie, Dubnie, Białym Stoku oraz introligatorska w Żytomierzu.

W ciągu ubiegłych trzech lat, pobierało naukę w Zakładzie 474 uczennic; z tej liczby 353 ukończyło całkowity kurs i otrzymało świadectwo uzdolnienia*), 241 było miejscowych, reszta z prowincyi, Cesarstwa lub Prus. Największą liczbę uczennic dostarczyło podupadłe obywatelstwo ziemskie z wyższem wykształceniem a zatem pojmujące całą doniosłość samodzielnej pracy; córki zaś naszych rzemieślników prawie wcale nie uczęszczają na naukę rzemiosł w Zakładzie. Dziwną zaprawdę jest ta obojętność ze strony kobiet, które od dziecinnych lat mają przed oczami przykład swych rodziców, własną pracą zdobywających byt niezależny.

Druga okoliczność która nas zastanawia niemało jest, iż z liczby kilkunastu rzemiosł których kursa kilkakrotnie ogłoszonemi zostały, kilka zaledwie jest uczęszczanych a mianowicie krój sukien, kwiaciarstwo, introligatorstwo, rękawicznictwo, krój bielizny i buchalterya pomimo że inne zajęcia równą korzyść zapewnić są w stanie. Z otwartych dotąd największą liczbę zwolenniczek miał krój sukien (246), najmniej zaś krój bielizny (9).

*) Z tych 64 opuściło Zakład przed złożeniem egzaminu a zaś 34 pobiera jeszcze naukę.

(*Przyp. Sprawozd.*)

W ciągu upłynionego roku 1876 pobierało naukę w Zakładzie 151 uczennic. Sto ukończyło kurs nauk całkowicie, z pozostałych zaś 51, siedemnaście opuściło Zakład przed złożeniem egzaminu, reszta pobiera dotąd naukę.

Kilkakrotnie zarząd zakładu odwoływał się do zamożnych znanych z inteligencyi i uczynności dam naszych, celem utworzenia stowarzyszenia opieki i pomocy dla uczennic które ukończyły całkowite kursa rzemiosł i ułatwienia im pierwszych kroków na polu pracy, dodając że każda z nich skoro już zarabiać na swoją rękę będzie mogła, zobowiąże się zwrócić wyłożone przez Stowarzyszenie koszta na naukę, ale ponieważ odezwy te pozostały bez żadnego skutku, zarząd wystąpił do Władzy z prośbą o dozwolenie mu utworzenia z własnej inicyatywy „Stowarzyszenia pomocy pracy kobiet.“

Takie są rezultaty działalności zarządu w ciągu trzechletniego istnienia wspomnionej instytucyi. My, streściwszy obecnie wyniki tej pracy, dodajemy ze swej strony słowo zachęty, z życzeniem ażeby Zakład tyle pożyteczny rozwijał się stopniowo przy coraz więcej sprzyjających okolicznościach, i postawił coraz większą liczbę robotnic w możności zapewnienia sobie niezależnego stanowiska.

Ludwik Niemojowski.

Korespondencya z Madrytu.

Palacio real. — Wyzyskiwanie podróżnych w Madrycie. Muzea: San Fernando, Fomento i narodowe muzeum Prado. — Promenada: *Salon Prado.* — Piękne Madrytanki. — Żebrzący żołnierze. — *Serenosi.* — Loterya liczbowa. — Domy gry w Madrycie. Nowy zakład gry hazardownéj w Fuentearabia. — Serenada i tragiczny wypadek.

Dla podróżnika co miał sposobność zwiedzić różne stolice i wielkie miasta europejskie, Madryt nie przedstawia nic tak szczególnie godnego zajęcia pod względem gmachów publicznych, kościołów i pomników. Do najznaczniejszych zalicza się *Palacio Real*, zbudowany z czerwonego gruntu i białego kolmenarskiego kamienia. Wielkie fasady, które skutkiem pochyłości gruntu wydają się jakby niejednako wysokie, mają po bokach wystające pawilony ozdobione jońskiemi kolumnami; boczne części zdobią pilastry z doryckiemi kapitelami, a na balustradzie kamiennej wieńczącej gmach cały, stoją wielkie urny.

Podróżnik przybywający koleją do Madrytu, staje się łupem gromady najrozmaitszych włóczęgów i darmozjadów. Zaledwie wysiadł z wagonu otacza go, szarpie i ciągnie na wszystkie strony z pięćdziesięciu nieposkromionych rabusiów; biedak znajduje się w położeniu owych zbrodniarzy, których w dawnych czasach przywiązywano do ogonów czterech dzikich rozhukanych rumaków. Biada mu! jeśli nie został uprzedzony jaki los go czeka, jeśli nieprzestrzeżono go że o najmniejszą rzecz niemiłosiernie targować się powinien. Wszyscy jakby zmówili się aby go obedrzeć ze skóry; komissyoner nie zawaha się zażądać 15 fr. za przeniesienie do hotelu walizki; właściciel każe sobie zapłacić 40 realów dziennie, za brudną izdebkę w której nie ma żadnych sprzętów prócz łóżka, tak odstręczającej powierzchowności, że niepodobna odważyć się położyć na niem. W restauracyi ściągną bezmierną zapłatę za obiad od którego wstaje się głodnym; słowem każdy ma sobie za obowiązek wycisnąć przybysza jak cytrynę.

Nie koniec na tem; wyszedłszy na ulicę trzeba bardzo pilnować kieszeni, ponieważ złodzieje, pewni bezkarności, zaglądają do nich bez ceremonii. Jedynym środkiem odzyskania skradzionej rzeczy, jest pochwycić złodzieja, odebrać, i w miarę siły i woli samemu wymierzyć karę: o inną sprawiedliwość niech się nikt nie kusi. Broń Boże podać skargę do sądu, bo w takim razie nie dość że nie odzyska się skradzionego przedmiotu, ale jeszcze drogo każą zapłacić za śledztwo, gdyż obowiązuje tu jakieś hotentockie prawo: że sądy tylko na żądanie i koszt oskarżyciela rozpoczynają dochodzenie sprawy! Pocieszne prawodawstwo! Jeśli ktoś odważy się rozpocząć proces, może być pewny że wiele lat upłynie zanim uzyska stanowczy wyrok, a często umrze nie doczekawszy końca. Poznałem tu pewnego znakomitego adwokata który wytoczył 2,000 wyraźnie dwa tysiące spraw, a do dziś dnia ani jeden proces nie został skończony.

Rozpocząłem wędrówkę od zwiedzenia muzeów, których Madryt posiada wiele, tak prywatnych jak publicznych; z tych najznakomitsze są: Muzeum obrazów akademii San Fernando, Muzeum Fomento i Muzeum Prado. Zaczynam od pierwszego, opisując te tylko obrazy które najwięcej zwracają uwagę. Murilla: *Św. Elżbieta królowa węgierska opatrująca kaleków*; jest to jedno z najcelniejszych arcydzieł sławnego tego mistrza. Cała postać królowej, napiętnowana jest, że tak powiem, wspaniałym charakterem religijnym; i wykonanie i koloryt są bardzo sympatyczne. Białe, prześliczne ręce obejmują pokrytą ranami głowę młodego żebraka. Na lewo, inny kaleka drapie strupieszałe rany z nadzwyczaj wybitnem skrzywieniem twarzy; odziany jest w łachmany, utrzymane jednak w harmonijnym tonie. Inne dodatkowe postacie, a szczególniej stara kobieta siedząca na schodach na pierwszym planie, są swobodnie traktowane. Brunetka trzymająca tacę z flaszkami, maściami i plastrami zdradza układ Murilla sewilskiego.

Założenie św. Maryi-Panny-większej. Są to dwa obrazy Murilla, znane pod nazwą *Medios puntos.*

Pierwszy przedstawia śpiących, mężczyznę i kobietę, którym we śnie ukazuje się N. Panna, z dzieciątkiem Jezus na ręku. Cała postać otoczona jest nieco za żółtą aureolą, którą brzeg schodzi się z szarawemi obłokami. Suknia srebrzysto-biała, twarz podobna do innych Madon sławnego mistrza. Osoby śpiące odtworzone z zadziwiającą prawdą; akcessorya znakomicie oddane; pies szczególniej zdaje się żywy.

Drugi obraz przedstawia też same osoby w paradnym stroju. Ciemny ubiór mężczyzny, odbija silnie od szaro-cytrynowej sukni kobiety. Oboje klęczą na stopniach jakby tronu, na którym siedzi kardynał i ze sceptyczną miną zadaje im pytania. Z boku stoi stary łysy ksiądz z przymrużonemi oczyma, i poprawia binokle na mocno zaczerwienionym nosie. Dwie czy trzy inne jeszcze figury, doskonale się zlewają w jedną harmonijną całość. W głębi, w szaro-błękitnym krajobrazie, przeciąga długa procesya, niosąc pod baldachimem mały posążek N. Dziewicy, otoczony aureolą. Obraz ten ucierpiał wiele od zanadto częstego odnawiania.

Jest tu także oryginał Rubensa: *Czysta Zuzanna;* Ribery, *Św. Antoni Padewski*, prześlicznie namalowany i Zurbarana: cztery przepyszne *Portrety zakonników.*

W Muzeum *Fomento* pomieszczonem w galeryach ministerstwa robót publicznych, jest parę pięknych obrazów, ale jest także wiele nowoczesnych nader nędznych, które jednak wysoko tu cenią.

Do piękniejszych należy Carducci'ego: *Zycie Św. Brunona.* Jednym z najstraszniejszych jego epizo

dów jest zmartwychwstanie. Zmarły ze złożonemi rękami i nieruchomym wzrokiem podnosi się na katafalku; przez otwarte zsiniałe usta widać jakby otchłań. Na twarzach otaczających osób, maluje się zdziwienie i przerażenie zarazem.

Muzeum *Prado* jest najrozleglejsze i w nim mieści się wiele drogocennych oryginałów wielkich mistrzów.

Ribery, *Męczeństwo Św. Bartłomieja*, jest jednym z najpiękniejszych obrazów wielkiego mistrza. Ręce świętego są silnie skrępowane i przywiązane do poprzecznie zawieszonej deski; muskularni oprawcy podnoszą go za pomocą sznurów przymocowanych do deski, a wysoki i silny kat trzyma go za nogi, aby ułatwić podniesienie; u pasa wisi torba w której kat ma noże do odzierania ze skóry świętego. Kobiety z dziećmi na ręku przypatrują się temu; z głębi naciąga świetlany obłok. Ciało świętego oddane z niezrównaną prawdą.

Drugi obraz tegoż artysty *Poddanie się Bredy (las Lanzas)*. Stoi grupa wojowników mistrzowsko oddanych i uszykowanych, a głowa i twarz margrabiego Spinola, tchnie taką dobrotliwością i serdecznością, że doprawdy aż żal bierze że nie mamy miasta do poddania, aby jemu oddać klucze. Na lewo przepyszny rumak przedstawiający się z boku. Podobało się artyście wymalować Flamandczyków jako typy brzydoty i głupoty; gubernator w szerokich swoich butach sam nie wie co z sobą zrobić. W głębi obrazu widać pole bitwy i palące się wioski; obłoki jakąś jakby zielonawą przybrały barwę. Tłum Hiszpanów z lancami ważną rolę odgrywa w obrazie.

Jest dwa obrazy Tycyana, które malował mając lat ośmdziesiąt. Jeden przedstawia *Diannę wypędzającą Akteona ze swej świątyni*, drugi *Diannę odtrącającą nimfę uwiedzioną*. W obu obrazach prześliczna harmonia i świetny koloryt. Tycyan malował je w epoce w której miał powiedzieć: „iż sam czuje się malarzem“.

Watteau, Przechadzka po ogrodzie. Wielka fontanna ozdobiona posągami i osadzona fantastycznemi drzewami, wyrzuca strumienie wody, orzeźwiające pierwszy plan. Panie upudrowane, w jedwabnych sukniach, z wielkiemi trenami, przechadzają się w towarzystwie zręcznych, eleganckich kawalerów.

Mikołaja Poussin, Fauny w lesie obraz prześliczny. Fauny latają w gęstym lesie; w oddali, za błękitnemi górami, roztaczają się złote promienie zachodzącego słońca.

Rafaela, trzy portrety i siedm obrazów, a między nimi *Perla* i *Spasimodi Sicilia*.

Veroneza, Mojżesz uratowany z wody. Obraz ten, to prawdziwa perła. Dwie kobiety w stroju odrodzenia, biorą różową dziecinę z rąk klęczącej służącej. Do głównej grupy należy jeszcze karzeł ubrany pół żółto-pomarańczowo, pół ciemno-fiołkowo. Z wody wychodzi murzyn, trzymający w ręku długi koszyk. W głębi obrazu kobiety poprawiają ubranie. Na horyzoncie rozkłada się miasto włoskie; z po za ciemno-błękitnych obłoków, wyłaniają się srebrzyste promienie oświetlające całą tę scenę.

Van Dyck'a. Ukoronowanie cierniem. Księżna d'Oxford i Pojmanie Chrystusa w ogrodzie Oliwnym.

Na tem skończę moje sprawozdanie; gdyż w Muzeum Prado znajduje się przeszło dwa-tysiące obrazów, zapisałbym cały „Tygodnik“ gdybym chciał wyliczyć choćby najznakomitsze.

Opuściwszy narodowe Muzeum Prado, tak nazwane od ulubionej promenady Prado, w pobliżu której się wznosi, dobry mój przyjaciel zamieszkały w Madrycie, poprowadził mnie do *salonu Prado*. Jest to rozległy spacer którego aleje dadzą się rozklasyfikować na trzy części: na aleje pijących, spacerujących i jadących.

Między dwoma rzędami drzew otaczających ten plac rozległy, wzniesiono małe eleganckie drewniane kontuary, w których sprzedają świeżą i zimną wodę *z aquardiente* i *azucarillos;* otaczające je stoły są zawsze zajęte, gdyż Madrytanki nieustannie, nawet w zimie, wielkie mają pragnienie. W lecie, wieczory aż do północy tak tu są gorące, że każdemu kroplisty pot spływa z czoła; to też woda z lodem jest bardzo pożądanym napojem.

Tylko osoby jadące w otwartych powozach używają nieco chłodu, ale za to wielką przykrość sprawiają spacerującym, zasypując im oczy tumanami spiekłego piasku, błyszczącego pod ostatniemi promieniami zachodzącego słońca.

Między dwoma makademizowanemi szosami któremi przejeżdżają powozy, leży przestrzeń mająca co najmniej pięćdziesiąt metrów szerokości, przeznaczona wyłącznie dla spacerujących. Trzy rzędy ławek tworzą trzy oddzielne aleje, z których każda odznacza się odrębną, właściwą sobie cechą.

W alei ciągnącej się od *calle d'Aleala* do *carrera San Geromino*, bawią się dzieciaki pod okiem swych bon i matek. Jedne drżą z radości na widok wózków ozdobionych chorągwiami, ciągnionych przez osły lub kozy, których lejce trzymają w obu rękach młode chłopczyki, a dumni ważnością, wielkiego swego zadania, mają poważniejsze miny niż stangreci ministrów. Taka przejażdżka to ich najulubieńsza zabawka. Inne tańczą zakręcając różne koła, a jasne różnobarwne kolory ich sukien, nadają im niejakie podobieństwo do wiosennych kwiatów, uniesionych powiewem figlarnego wietrzyka. Krzyki i wesołe śmiechy małego tego światka, mieszają się ze śpiewem czyli raczej piskiem ślepych, piszczących arabskie śpiewki z towarzyszeniem gitary; a jeśli przypadkiem nastanie chwila milczenia, można słyszeć szmer fontanny Apollina, której woda spada drobnym deszczem w basen eliptyczny, gdzie, ptaszęta kąpią swe skrzydełka, zanim porozsiadają się po wielkich drzewach, kryjących je w swym cieniu.

W środkowej alei przechadzają się osoby poważne; mężczyźni rozmawiający o polityce i o dobrych *dinero*; matki radujące się widokiem dzieci na ręku mamek, pięknych wieśniaczek z Santander, w ślicznym narodowym stroju, literaci i dziennikarze, rozmyślający o swoich utworach i dziennikach.

W trzeciej nareszcie spacerują piękne zalotne kobiety i tłumy ich wielbicieli. Jedne z tych pań mają na głowach trochę dziwaczne kapelusze; drugie są z gołemi głowami i tylko w ich bujnych kruczych splotach, z błękitnym odcieniem, tkwią piękne czerwone goździki; inne nakoniec, a szczęściem tych jest najwięcej — pozostały wierne koronkowem mantylkom. Z pod gęstych brwi i długich rzęs, czarne ich oczy rzucają spojrzenia ogniste, pełne magnetycznych prądów. Szczery uśmiech otwiera ich nieco grube usta, ukazując drobne, lśniącej białości ząbki, rzucające jakiś odblask na całą twarz. Śliczne ich, jakby utoczone ramiona, przypominają kształt ramion Venus z Milo. Rączka maleńka, pulchna, miękka, godna dłuta Praxytelesa; nóżka mała i zgrabna, tak mała iż każda Chinka poprzestałaby na niej. Każda z Madrytanek *uzbrojona* jest wachlarzem, bogatym w najfantastyczniejsze arabeski; trzeba widzieć jak umie go otwierać, składać, poruszać, słowem w jej ręku wachlarz przemawia zrozumiale, jak w Persyi kwiaty.

Nader przykre na mnie zrobił wrażenie widok kalek żołnierzy, żebrzących jałmużny. W Rzymie obrońcom ojczyzny rozdawano ziemię, w Madrycie muszą żyć z żebraniny.

Cienie wieczoru spuszczają się zwolna od niebieskiego sklepienia; tu i owdzie zaczynają pojawiać się *sérenosi* uzbrojeni piką i zaopatrzeni w ślepe latarki, rzucające długie promienie światła. Są to stróże nocni. U pasa mają klucze od zewnętrznych drzwi domów swego rewiru, które otwierają bardzo późno wracającym do domu. W razie jakiejś potrzeby lub napaści, mają świstawkę na której odgłos ze wszech stron się zbiegają. W małych miasteczkach chodząc, monotonnym głosem śpiewają pieśni nabożne.

Już to młody król Alfons miałby bardzo trudne zadanie, gdyby chciał choć w części wyplenić nadużycia i grabieże, oraz poznosić niektóre złe i niemoralne instytucye rządowe, do jakich, między innemi należy np. loterya liczbowa, której ciągnienie, niecierpliwie wyczekiwane przez sługi i wyrobników, marnujących na stawkę grosz ciężko zapracowany, odbywa się co dwa tygodnie.

Każda taka loterya przynosi skarbowi 25 na 100 czystego zysku. Wprawdzie skarb ten walczący nieustannie z bankructwem i przymusowym kursem papierowej monety, bardzo potrzebuje zasiłku, ale należałoby szukać go na szlachetniejszej drodze, a najpierw powstrzymać grabież wielu ministrów i pierwszych dygnitarzy, którzy najkrócej zostając u władzy, potrafią jednak dobrze napchać swoje kieszenie. Cała ludność wie o tem dobrze, można nieraz usłyszeć ubolewanie najprostszego rzemieślnika, który mówi ze smutkiem: „Jeśli ktoś ukradnie bochenek chleba, pójdzie do więzienia, jeśli skradnie milion spokojnie jeździ karetą“.

Urządzeniem loteryi liczbowej, rząd rozbudza i podtrzymuje namiętność do gry w karty, która to niby jest zakazaną w Hiszpanii — jednakże jest tolerowaną. To też wiedząc o tem dobrze, że skończy się na łapowem, dyrektorowie rulety żartują sobie z zakazów policyi.

Przez ciekawość zwiedziłem niektóre znaczniejsze domy gry; podam więc tu krótki opis ich zakładów, jakich używają krupierów i jakich ściągają graczy.

Najznaczniejsze z tych domów ukrywają się pod fałszywemi szyldami *Klubów* lub *Casino.* Przed drzwiami wchodowemi i na wschodach porozstawiani są strażnicy, trzech innych siedzi na piętrze przy wejściu do zakładu, niby loż-majstrowie pilnujący wejścia do loż. Jeśli ktoś nieznajomy wchodzi proszą o okazanie biletu dowodzącego że jest członkiem klubu. Jest prosta forma nie odstręczająca gości dobrze wiedzących o niej.

Wchodzi się do gabinetu w którym dyrektor ofiaruje znajomym swoim doskonałe *puros*, ztamtąd do bogato umeblowanej czytelni, gdzie na stole pokrytym kosztownym kobiercem, stoją dwa wazony japońskie z bukietami kwiatów, a między nimi porozkładane leżą znakomitsze dzienniki, gazety i pisma peryodyczne europejskie i amerykańskie. W końcu pokoju są małe drzwiczki prowadzące do sali rulety. W niej roztacza się tajemnicza jasność, przyćmiona chińskiemi storami.

Na środku wielkiego stołu znajduje się koło podzielone na trzydzieści ośm czarnych i czerwonych numerowanych przegródek. Przegródki te są odtworzone na zielonem suknie stołu, po obu stronach koła, w którem przytwierdzony jest ruchomy cylinder. Kierujący partyą pilnuje uderzeń, siedząc na wysokim krześle.

Jeden z krupierów obraca cylinder w jedną stronę a w przeciwną rzuca kulę kościaną.

— Panowie, stawka!

(*d. n.*)

Przegląd literacki.

Kurs nauki języka polskiego dla oddziału głuchoniemych w Warszawskim Instytucie Głuchoniemych i Ociemniałych ułożony przez Radę Pedagogiczną tegoż Instytutu. Klassa czwarta. Warszawa 1876.

Wykład nauki języka polskiego w Warszawskim Instytucie Głuchoniemych, jak dowiadujemy się z przedmowy do niniejszej pracy, zamyka się w 6 kursach odpowiadających 6 klasom tego zakładu. Stopniowanie tych kursów i metoda wykładu, oczywiście, muszą różnić się od metody, używanej z dziećmi przez naturę nieupośledzonemi. Nauka języka musi tu iść w parze z rozwojem umysłowym, a raczej z nauką tego rozwoju. Kurs więc pierwszy jest nauką mowy głosowej, a po części nawet nauką myślenia: tu nauczyciel obudza myśl biednego dziecka, uczy je wydobyć z piersi pewne dźwięki i zarazem, ciągłem ćwiczeniem, daje mu poznać związek wyrazów z myślą. W kursie drugim obeznaje się uczeń z jak największą liczbą wyrazów — początkowo rzeczowników i przymiotników, poznaje nadto słowo posiłkowe *być* i inne potrzebniejsze czasowniki, początkowo tylko w osobie trzeciej. Kurs trzeci, najważniejszy i najtrudniejszy, poświęcony jest odmianom imion i słów. Teraz dopiero uczeń znajduje się w możności tworzenia rozmaitych zdań, a więc poznaje praktycznie budowę zdania prostego. Niniejszy kurs czwarty zawiera rzeczy jeszcze trudniejsze, przeważnie przyimki, choć zajmuje się także potrosze i innemi częściami mowy. W kursie klasy piątej ma być wyłożona nauka o imiesłowach i dalsze wiadomości o zdaniach pojedyńczych i złożonych; w kursie zaś szóstym ma zawierać się powtórzenie wszystkich (?) wiadomości, po danych w poprzedzających kursach.

Nie naszą jest rzeczą krytykować tę metodę, zapewne ustaloną i wypróbowaną doświadczeniem, choć, mówiąc prawdę, rozwój tego systemu, zwłaszcza w kursach ostatnich, nie wydaje się zupełnie organicznym i bardzo jakoś odskakuje od zwykłej metody—czy to syntetycznej, czy analitycznej. Nie będąc kompetentnym wsprawie nauczania głuchoniemych, odważam się tylko rzucić pytanie, czy nie byłoby możliwem zastosować całkowicie systemu analitycznego?

Bądź jak bądź, niniejsze dziełko opracowane jest starannie. Na początku znajdujemy tu rozmaite podziały rzeczowników, trochę chaotyczne, jak we wszystkich prawie gramatykach i rozpoczynające się błędnym w gruncie podziałem na zmysłowe, duchowe i oderwane, gdyż *rzeczowników* zmysłowych nie ma (są tylko *przedmioty* zmysłowe), a rzeczowniki są wszystkie oderwane. Idą dalej starannie nagromadzone przykłady rozmaitych rzeczowników, szczególnej zdrobniałych. Potem w książce mowa o przymiotnikach i ich stopniowaniu. Są i tu niedokładności bo skoro, według określenia książki, do ostatniej spółgłoski stopnia równego dodaje się *szy* dla uformowania stopnia wyższego, to z przytoczonych przykładów niezupełnie stwierdzają owo prawidło takie jak biały—bielszy, mądry—mędrszy, drogi—droższy, gorący—gorętszy. Zresztą nie wiemy, gdzie i w jakim kursie mieści program głosownią (nie znaleźliśmy tego w przedmowie); jeżeli zaś ma być ona wykładaną stopniowo i częściowo, przy nauce odmian, to i naukę o formowaniu stopnia wyższego wypadało stosownie uzupełnić. Podobnież niedostatecznem jest określeniem stopniowania omownego że używa się ono „niekiedy“ (przecie nie do wszystkich przymiotników, chociaż w mowie potocznej, a nawet skażonej piśmiennej często napotykamy np. *więcej pewny* zam. pewniejszy, *bardziej gorący* zamiast gorętszy i t. p,). Dalej idzie rzecz o liczebnikach, wyłożona gruntownie.

Nie zgodzilibyśmy się tylko (bo i to błąd pospolity, niemniej jednak jest błędem) na uważanie liczebników zaimkowych *inny* i *drugi* za jedno; przykład zaś „obaj bracia są pierwszymi uczniami w instytucie uważamy za błędny, bo *pierwszym* uczniem może być tylko *jeden*, pomimo jednakowych świadectw piśmiennych: zawsze musi być różnica i pomiędzy celującymi: wszak nie masz nawet dwóch zupełnie jednakowych listków na drzewie. Nie mówi się także „pół do ósmej“ lecz „w pół“. Dalej idzie krótka klasyfikacya zaimków, potem następują czasowniki, ich podział i odmiana; ta ostatnia ogranicza się do 3 wzorów (— a, y, (i) e). Rozdział o przyimkach podaje je najprzód ułożonemi podług znaczenia — miejsca, czasu i t. d. (wszystkich działów aż 22)! przyczem, naturalnie, jeden przyimek powtarza się w kilku działach, a dopiero potem podany jest szereg przyimków podług rządzonych przypadków i to każdy oddzielnie z jednym tylko przypadkiem, tak że rządzące kilkoma przypadkami figurują oddzielnie pod kilkoma numerami. Gdyby się zaś spytać ucznia: jakiemi przypadkami np. rządzi przyimek za— wiedzieć nie będzie, bo takiego zestawienia nie znajdujemy. Czy nie lepiej byłoby zaniechać owej pierwszej klasyfikacyi podług znaczeń, o której ścisłości naukowej wiele dałoby się powiedzieć i która jest zbyteczną, a nawet nieprzystępną i dla obdarzonych pełnią władz umysłowych dzieci; natomiast zaś, podług dawnego zwyczaju, podać naprzód wszystkie przyimki w porządku alfabetycznym, dla wyuczenia się ich *na pamięć*, a potem raz jeszcze podać te same przyimki z wymienieniem przypadków, którymi rządzą i zamknąć rzecz przykładami. choćby najliczniejszymi. Następuje rozdział o przysłówkach, bardzo obszernie i pracowicie skreślony, zamyka zaś książkę nie mniej szczegółowe skazówki i tablice do rozbioru gramatycznego.

Powtarzając raz jeszcze, że co do metody użytej przy nauczaniu głuchoniemych nie śmiemy wyrokować, a choć wiemy także iż do książek, przeznaczonych dla tych nieszczęśliwych, niepodobna przykładać skali wymagań normalnych od zwykłych dzieł w tym przedmiocie, mniemamy wszelako że wierność i prawidłowość naukowa są zarówno dla wszystkich bez różnicy gramatyk obowiązujące. Niniejszy podręcznik szwankuje nieco pod tym względem, jak wykazaliśmy, choć w niezbyt wielu miejscach. Wskazaliśmy tylko kilka główniejszych błędów; znalazłyby się może i inne.

Zresztą z niniejszej gramatyki mogą częściowo korzystać i nieupośledzone dzieci, zwłaszcza z obfitych i starannie nagromadzonych przykładów.

W.

NOWE WYDAWNICTWA.

Dzieł Klementyny z Tańskich Hofmanowej, nakładem współki księgarzy w Warszawie wyszedł tom X i XI zawierające dwie powieści p. t: „Karolina i Krystyna,“ zasługujące pod każdym względem na jak największe upowszechnienie.“

Romans przedhistoryczny E. Bertheta, przełożony przez H. Kuczalskiego obejmuje opowiadania powieściowe podzielone na trzy części, w których pierwsza przedstawia epokę kamienną, druga osady nawodne, trzecia wreszcie założenie Paryża. Dramatyczność, ścisłość historyczna i piękność obrazowania obudzająca wielkie zajęcie zalecają całą tę pracę. Cena rs. 1 kop. 20.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu A. Z. w Pyzdrach. W szkołach księży Pijarów nader starannie prowadzonych rozpoczynano naukę historyi od dziejów starożytnych a w drugiej dopiero klasie wykładano historyę powszechną i własnego kraju. Co do książek, to z więcej używanych jest: Historya powszechna Webera tomów 2 rs. 1 a Zdanowicza rs. 1 kop. 80. Historya naturalna Leśniewskiego bardzo obszerna w czterech książkach trzy tomy obejmujących z atlasem rs. 6 — skrócona zaś przez Strässle rs. 1 kop. 20. O początek powieści w zeszłym roku w Przyjacielu dzieci rozpoczętej p. t. Na dworskim chlebie prosimy zgłosić się tam gdzie pismo to jest prenumerowane.

Panu Ignacemu K. w Przyjaźni. Początek powieści Zaklęta księżniczka prześlemy natychmiast jak tylko przygotowany w drukarni zostanie. Synkowi Jasiowi prosimy powiedzieć że, syna co się stara być pociechą dla swych Rodziców Przyjaciel bardzo kocha.

Nowej Prenumeratorce w Pawłowskiej Woli. Paletot z velours'a wełnianej tkaniny miękiej i ciepłej kosztuje od rs. 30 do 50 i wyżej w miarę długości okrycia i kosztowniejszej ozdoby. List w parę dni po wyprawieniu zrobionej sukni, wysłany został, obejmował szczegółowy rachunek i żądane objaśnienia: powtórny wysyłamy.

Pani Klarze D. w Małej Meczetnej. Wszystkie trzy osobno żądane posyłki połączyliśmy w jedną, co zmniejszyło i koszt opakowania i wydatek pocztowej opłaty. Suknia powinna odpowiedzieć żądaniu, ślicznie wykończona podług najświeższego żurnalu. Konik odesłany nieco później. Dodaliśmy do przysłanych pieniędzy rs. 1 kop. 84.

Pannie Maryi R. w Soszówce. 365 obiadów przez L. C. kosztuje obecnie rs. 1 a nie 75 kop. jak tytuł opiewa. Szukaliśmy darmo po wszystkich księgarniach nut żądanych i dla tego nawet do świeżego transportu wstrzymaliśmy wysyłkę. Posyłamy to co zrobić mogliśmy a resztę pieniędzy w ilości rs. 2 kop. 34 złożyliśmy do depozytu naszego oczekując nowego rozporządzenia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 27 Января (8 Февраля) 1877 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 6.

(Dokończenie)

N. 14. Pasek do zawieszenia wachlarza.

Odpowiedni przy toalecie wieczorowej lub balowej pasek do zawieszenia wachlarza, zrobiony jest z kolorowej repsowej wstążki i białych pereł. Potrzeba kawałka wstążki 127 cent. długiego a 3 szerokiego, który naszywa się perełkami dość dużemi podług ryc. 14, na jednym końcu przyszyta haftka do zapinania w drugim kokarda ozdobiona rozetą; od spodu przytwierdzony haczyk ze sprężynką do zakładania wachlarza.

N. 15—17. Koszyczek do robót.

Koszyczek oryginalną i ładną formą pleciony z żółto lakierowanej trzciny z czarnemi ozdobami i pałączkiem, powleczony jest w środku niebieskim atłasem z którego dodane jest ozdobne przykrycie, zasłaniające roboty od kurzu. Długość przykrycia wynosi 51, szerokość 21 cent., końce poprzeczne wycięte są w trzy zęby spiczaste, po 5 cent. głębokie. Atłas stębnowany jest na maszynie białym jedwabiem w kwadraciki i naszyty w odstępach pasami aksamitnemi lub repsowemi ozdobionemi wyszyciem z kolorowego jedwabiu, jak to ryc. 16 w naturalnej wielkości wskazuje. Riusza z wstążki 2 cent. szerokiej i kwaściki z różnokolorowych włóczkowych kulek dopełniają przybrania; podszewka dana z fularu niebieskiego. Pałączek zdobi się podług ryc. 15 wązką wstążeczką przewijaną przez pręciki i kuleczkami kolorowemi. Na ryc. 17 podajemy wzór roboty krzyżowej, jeżeli przykrycie nie będzie z materyi.

N. 18. Opaska do listów. Deseń w dodatku Fig. 57.

Opaska taka służy do związania listów które chcemy zachować jako pamiątkę; zrobiona jest z kanwy papierowej na której wymalowana podług deseniu (Fig. 57) girlandka niezapominajek, brzegiem zaś dane wyszycie jedwabiem. Na końcach kanwy przymocowane są



N. 1. Okrycie z kapturkiem do teatru lub t. p.

N. 2. Kołnierzyk płócienny i chusteczka koronkowa.



N. 3. Princesse z podłużnym wykrojem zapinana z boku.

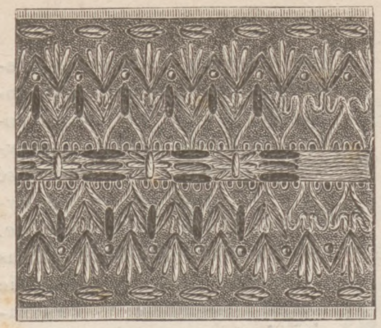
N. 4. Princesse z kwadratowym wykrojem i krótkimi rękawkami.

N. 5. Princesse zapinana z tyłu, z upięciem naśladującem tunikę.

N. 6. Suknia z vêtement.

N. 7. Suknia z vêtement formą fraka.

Wskazanie kroju sukien princesse na arkuszu z krojami N. VIII, Fig. 24 — 28-a i Fig. 24-b.



N. 16. Haft ściegiem luźnym, na przykrycie do koszyczka ryc. 15.

wstążki 60 cent. długie a 3 szerokie, które przewłóczą się przez zasuweczkę również z kanwy uszytą, 5 cent. długą $3\frac{1}{2}$ szeroką, ozdobioną monogramem.

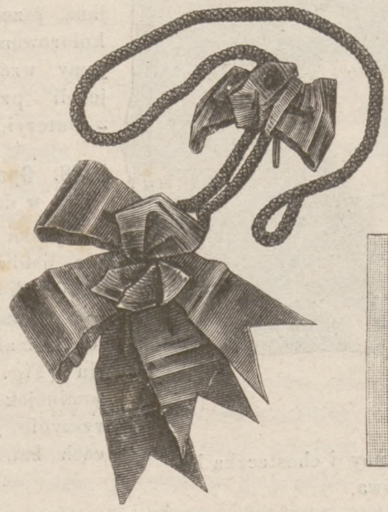
N. 19 -- 20. Dwa szlaczki wyszyte na tiulu.

Odpowiednie do przyozdobienia chusteczek, krawatek, woalików i t. p. wyszywają się wprost na tle tiulowem lub na pasku oddzielnym z cieńszego lub grubszego od tła tiulu i aplikują rzędem łańcuszka.

N. 21. Czaprak wyszyty ściegiem luźnym i ściegiem płaskim. Deseń i opis na arkuszu z krojami Fig. 23.

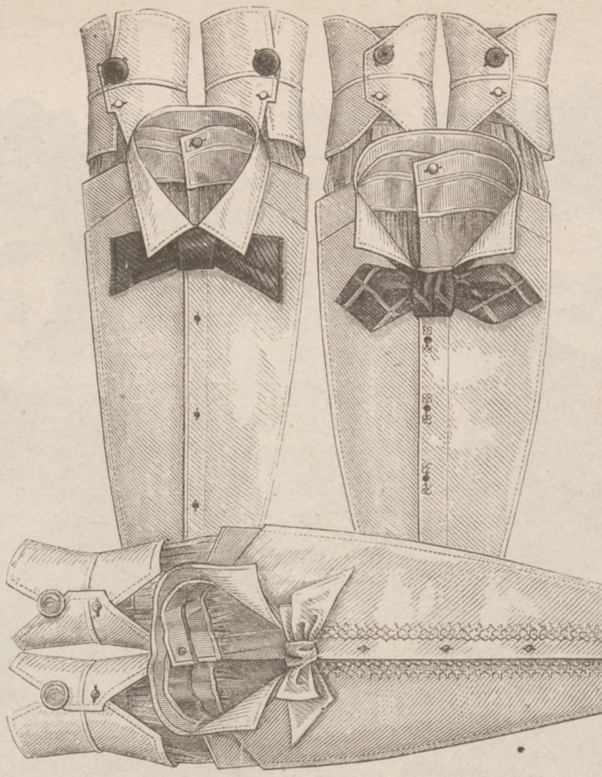
N. 22—23. Opis w przeszłym N-rze.

N. 24—25. Długi płaszczyk. Krój w dodatku N. IX, Fig. 29—31-a.

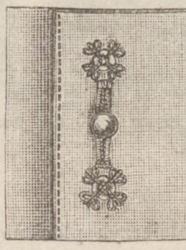


N. 13. Paź do podnoszenia sukien.

Burnusy syberynowe lub podbite futrem są praktyczne tylko do powozu, gdyż do noszenia są za ciężkie; chcąc je uczynić dogodnemi zmieniono formę na węższą, leżącą na osobie gładko bez żadnych fałd. Zamiast jakichkolwiek rękawów dane są przecięcia do wyjmowania rąk, przysłonięte szerokiemi klapkami, które mogą być ściśle przypięte do okrycia jeżeli nie potrzeba rąk wyjmować, chroni to od przewiewu zimnego powietrza. Jeżeli chcemy płaszczyka takiego używać tylko jako okrycie do teatru, na koncert lub t. p. można na pokrycie wziąść kaszmir, materyę jedwabną, sicilienne, na watowanej, pikowanej podszewce a zamiast futra jakim oszyte są brzegi płaszczyka ryc. 24 użyć plisy aksamitnej czy repsowej. Długi śpiczasty kapturek widoczny na ryc. 25 odznaczony jest naszyciem pasmanteryi z frendzlą; kapturek zastąpić można kołnierzem jedwabnym ozdobionym z tyłu sutą kokardą z wstążki repsowej. Na rycinie 24 z pod oszycia futrzanego przy kołnierzu i klapach wysuwa się wąziutkie plisowanie, które można dodać z kolorowej materyi ładnie odbijającej od ciemnego płaszczyka.



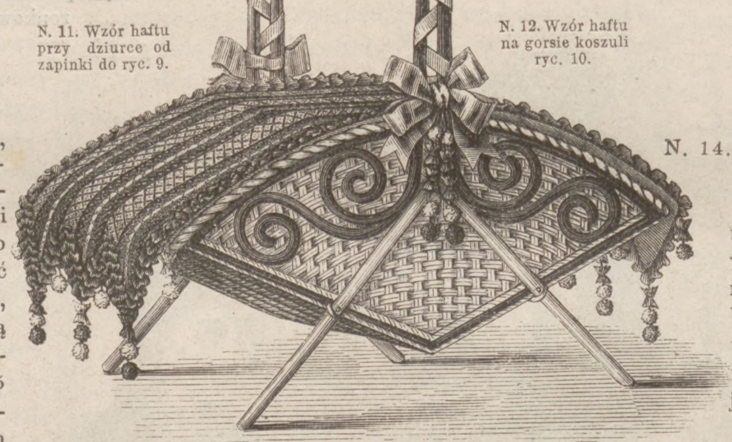
N. 8—10. Trzy męzkie koszule, do ubrania domowego, wizytowego i balowego. Patrz ryc. 11—12. Krój kołnierzyków i mankietów na arkuszu N. IV, IV, Fig. 13, 20.



N. 11. Wzór haftu przy dziurce od zapinki do ryc. 9.



N. 12. Wzór haftu na gorsie koszuli ryc. 10.

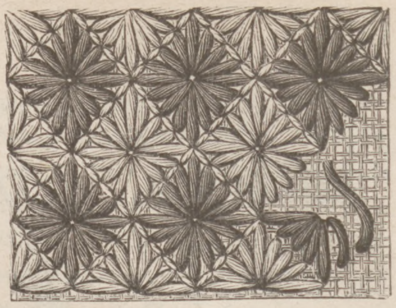


N. 15. Koszyczek do robót z przykryciem haftowanem patrz ryc. 16—17.



N. 18. Opaska do listów.

Części kroju załączone na Fig. 29, 30 dopełniają się na długość podług miar wskazanych na zmniejszonym formacie, na którym są również odznaczone klapki zupełnie proste po 38 cent. długie a po 13 szerokie.



N. 17. Wzór ściegu krzyżowego.

N. 26—28. Opisy w przeszłym N-rze.

N. 29. Tafelka drewniana ozdobiona malowaniem. Deseń na arkuszu z krojami Fig. 56.

Odpowiednia do oprawy książeczki notatkowej lub do biletów wizytowych, ozdobiona jest malowaniem sepją w trzech cieniach. Medaljon środkowy ma na tle czarnym naklejoną fotografię, przedstawiającą starożytny posąg. Kupiwszy fotografię trzeba odkleić ją od sztywnego papieru maczając od spodu wodą póki papier nie nasiąknie a cieniutki papierek z fotografią nie zacznie odstawać. Odjąwszy go trzeba ostremi nożyczkami wyciąć podług konturów figurę i przykleić do tafelki za pomocą gumy arabskiej. Po skończeniu malowania trzeba całą tafelkę pociągnąć bezbarwnym lakierem.



N. 14. Pasek do zawieszania wachlarza.

N. 30. Fotel z wysoką poręczą.

Fotel ten stanowić może piękny podarunek, mający tem większą wartość iż zdobi go haft jaki można wykonać własnoręcznie. Model przedstawiony na ryc. 30 pokryty bronzowym safjanem ma na wysłaniu poręczy wyhaftowaną ściegiem płaskim, jedwabiem bronzowym do cieniu girlandę z liści i monogram, którego jedna litera odrobiona jest złotem.

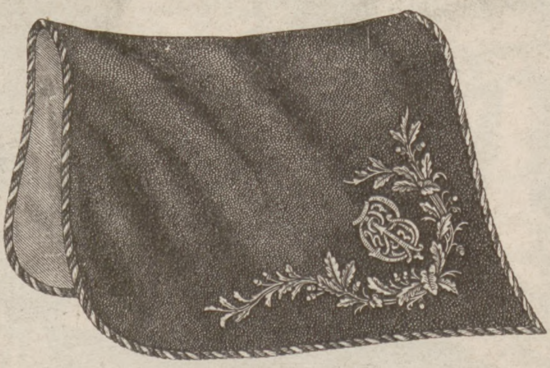
N. 31. Opis w N-rze 5.

N. 32. Sukienka dla dziewczynki lat 1—2.

Uszyta z białej piki przybrana jest płócienną listewką $3\frac{1}{2}$ cent. szeroką, ostębnowaną batystowym sko-



N. 19—20. Dwa szlaczki wywodzone na tiulu



N. 21. Czaprak. Deseń i opis na arkuszu z krojami Fig. 23.



N. 22. Vêtement do sukni ryc. 2 w N. 5.



N. 23. Długi paletot. Patrz ryc. 1 w N-rze 4.

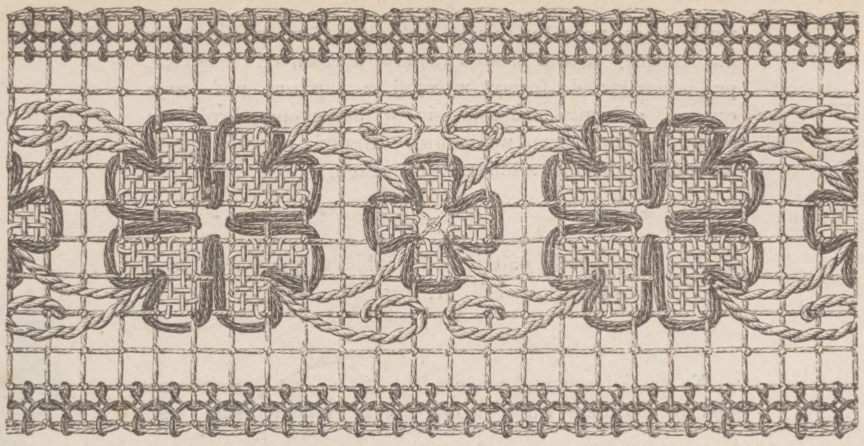


N. 24—25. Długi płaszczyk. Krój na arkuszu N. IX, Fig. 29—31-a.

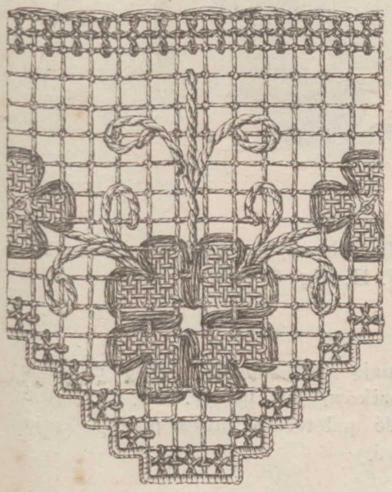
sem i wyszytą ponsową i niebieską bawełną dobrą do prania. W N-rze 5 na ryc. 14 i 15 podaliśmy dwa szlaczki, które tu mogą być zastosowane. Przody sukienki zachodzą 8 cent. na siebie i zapięte są na dwa rzędy guzików z konchy perłowej; pasek zastąpić można szarfą kolorową.

N. 33. Ubranie dla chłopczyka. Krój bluzy w dodatku N. II, Fig. 6—10. Krój majtek podaliśmy w N-rze 1 przy ryc. 8—patrz N. XI, Fig. 56 na arkuszu z krojami do N. 1 i 2.

Ubranie to składa się z majtek, bluzy i fałdowanej spódniczki z ciemno granatowego sukna; skromne przybranie stanowią guziki z konchy perłowej. Majtki dopasowane są podług powyżej wskazanego kroju i wszyte w prosty pasek, opatrzony



N. 26 Wszywka z siatki gipiurowej do ryc. 8 w N-rze 5. Kratka robiona cieńszą nitką, korzonki grubszą a otoczenie kwiatów ponsową bawełną.



N. 27. Ząbki z siatki gipiurowej do ryc. 8 w N-rze 5. Odpowiednią wszywkę przedstawia ryc. 26.



N. 29. Tafelka drewniana ozdobiona malowaniem.



N. 30. Fotel z wysoką poręczą.

dziurkami zapinanemi na guziki przyszyte do bluzy, przykrojonej podług Fig. 6—10. Przody zapinają się na guziki; rękawki są przy ręce zmarszczone i wszyte w pasek zapięty na guzik. Dolny brzeg bluzy jest zmarszczony i wszyty w pasek 4 cent. szeroki a 67 cent. długi, opatrzony guzikami na które przypinają się majtki; spódniczka liczy 25 cent. długości a 380 cent. obwodu i złożona jest w płaskie fałdy.

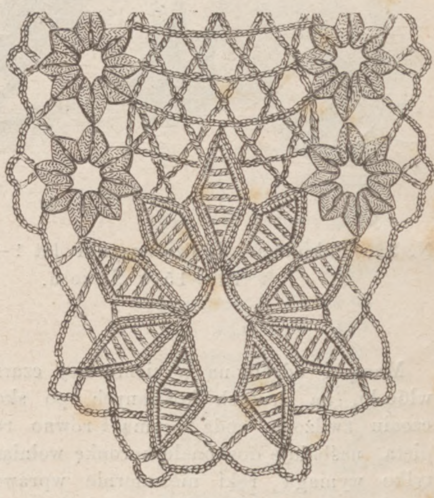
N. 34—35. Dwie suknie princesse. Krój na arkuszu N. VIII, Fig. 24—28-a.

N. 34. Princesse wycięta w carré, z krótkiemi rękawkami, zdobna koronkową bertą i draperyą.

Suknia formą princesse wykończona z jasnej materyi, oszyta u dołu falbanką plisowaną i marszczoną. Gładki staniczek zdobi berta koronkowa oszyta frendzlą; draperya lekko zarzucona na suknię, może być upiętą z koronkowej chustki lub szala; brzegi oszywa bogata frendzla przerabiana złotem. Kokardy i kwiaty dopełniają przybrania.

N. 35. Princesse zapinana z boku.

Suknie princesse bez żadnego garnirunku mogą być odrobione tylko z cięższych materyałów; najodpowiedniejsze są jedwabne popeliny, materye adamaszkowe w większy



N. 31. Część barbki szydełkowej do czepeczka ryc. 34 w N-rze 5.

lub mniejszy deseń, aksamit lub kosztowne w nowym rodzaju materye przerabiane srebrem lub złotem, które stanowią najwytworniejsze toalety. Na szwach można dać grube wypustki z materyi, jak to widać na ryc. 35 przedstawiającej suknię aksamitną, zapiętą z boku na małe guziczki, naszyte trzema rzędami. Rękawy dość wązkie, z otwartym mankietem zdobi rząd guziczków, sięgający do łokcia. Z boku ozdobna kieszonka.

N. 36. Mantyla robotą na drutach, naśladującą koronkę.



N. 28. Haft w staroświeckim guście do ręcznika ryc. 13.

wych przy początku druta (którego 1 o. zdejmuje się nie robiąc), oraz w środku rzędów w równych odstępach, przymierzając do formy wyciętej z papieru; pod szyją oprócz gubienia zcieśnia się w ostatniem obrobieniu ażeby nadać formę wykrojowi. Brzegi w koło zdobi koronka oddzielnie zrobiona na drutach.

N. 37—38. **Krótki** paletocik dla młodych panienek. Krój na arkuszu N. X, Fig. 32—37.

Na zmniejszonym formacie Fig. 32-a—34-a oznaczona jest na przodzie linią kropkowaną zmiana kroju jeśli przody mają być zapięte z boku na dwa rzędy guzików, jak na ryc. 38. Długość i szerokość paletocika łatwo podług kroju powiększyć.

Przybranie paletocika załączonego na ryc. 27 składa szersza i węższa pletnia i guziki szmuklerskie; czapeczka aksamitna oszyta futrem takiem jak mufka; paletocik przedstawiony na ryc. 38 jest odszyty z ciemnego velours'u i objęty futrem. Mufka zawieszona na sznurze jedwabnym.



N. 32. Sukienka dla dziewczynki lat 1—2. Patrz ryc. 14—15 w N-rze 5.



N. 33. Sukieneczka dla chłopczyka. Krój bluzy w dodatku N. II, Fig. 6—10.

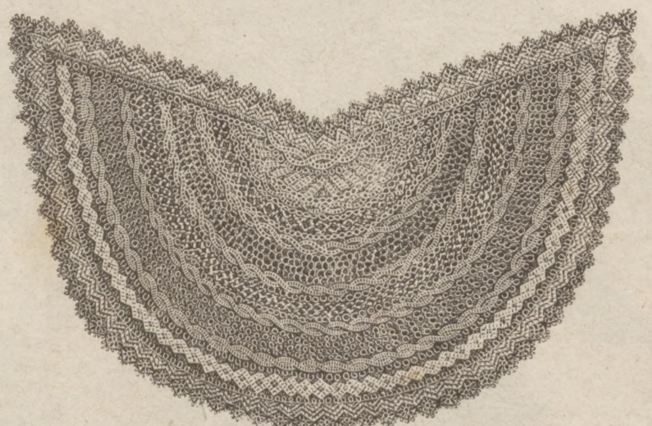


N. 34. Princesse wycięta w carré z krótkiemi rękawkami zdobna koronkową bertą i draperyą.

N. 35. Princesse aksamitna zapięta z boku.

Mantyla odrobiona z cieniutkiej czarnej włóczki, na drutach kościanych, po skończeniu zwilżona wodą z gumą i równo rozpięta, naśladuje doskonale koronkę wełnianą, tylko wymaga ręki niezmiernie wprawnej w robotę na drutach. Wiele zależy na dobraniu ładnych deseni, których trzeba szukać nie tylko w przeszłorocznych N-rach Tygodnika ale jeszcze od roku 1872. Długość mantyli wynosi 102 cent., dolny obwód 360 cent.

Robotę zaczyna się od dołu na o. 720, dając naprzemian pasy deseniowe i tło ażurowe które je przedziela i od którego zaczyna się robota. Gubienie odpowiednio do formy następuje zawsze w pasach ażuro-



N. 36. Mantyla robotą na drutach, naśladującą koronkę.

O rękawiczkach.

Obecnie z powodu karnawału więcej jeszcze niż zwykle używa się jasnych rękawiczek, donosimy więc czytelniczkom naszym że najwięcej przepocone wypierają się zupełnie, tak że jak nowe mogą być użyte, czego nie przedstawiał dotychczasowy sposób prania. Rękawiczki oddaje się do prania w sklepie pp. Sanders, przy rogu Miodowej ulicy, po 10 kop. od pary.



N. 37. Krótki paletocik. Przód na ryc. 38. Krój na arkuszu N. X, Fig. 32—37.



N. 38. Krótki paletocik dla młodych panienek. Plecy przedstawia ryc. 37.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 5 i 6.

N. VIII. Suknia formą princesse bez fałd, złożona z kilku części. Ryc. 3—5 i 44—35 w N. 6. Tygodnika mód.

Miara połowy górnej szerokości w gorsie 48, w pasie 33 centymetry.

Fig. 24. Pierwsza część przodu (A, D)

Fig. 25. Druga część przodu (A, B, E, *)

Fig. 26. Boczek (B, C)

Fig. 27. Pierwsza część pleców (C, D, E)

Fig. 28. Druga część pleców (D)

Fig. 24-a—28-a i 24-b. Zmniejszony rysunek wszystkich części kroju, z oznaczeniem miary długości i szerokości. Na Fig. 24 b. oznaczone linijką skośnie zapięcie przodu.

Ryc. 3—5 i 34—35 przedstawia sukuie princesse zapinane z boku, na środku z przodu lub z tyłu, z odmiennemi rodzajami przybrania lub garnirunków, ale wszystkie przykrojone podług formy podanej na Fig. 24—28. Do zapięcia skośnego najlepiej przykroić formę z grubego muślinu (jak do zapięcia z tyłu, takową zupełnie podług figury dopasować; a przecięcie skośne na osobie odznaczyć, podług wzoru na Fig. 24-b. wskazanego. Tak przy zapięciu skośnem jak i z boku, część środkowa przodu nie powinna być rozcięta, tylko przy ostatniem w górze podług figury dłużej lub krócej zaszyta jak to widzimy na ryc. 35.

N. IX. Długi płaszczyk. Ryc. 24—25 w N. 6 Tygodnika.

Fig. 29. Przód (F, H, *)

Fig. 30. Połowa pleców F, G)

Fig. 31. Kołnierz (G, H)

Fig. 29-a—31-a. Zmniejszony rysunek części płaszczyka.

N. X. Krótki paletocik dla niedorosłej panienki, ryc. 37—48 w N. 6.

Fig. 32. Przód (I, K, N, O, P, U, V, jedno załamanie formy)

Fig. 33. Boczek (I, K, L, M, W)

Fig. 34. Plecy (L, M, N, O, T)

Fig. 35. Rękaw (P, Q, R, S)

Fig. 36. Kołnierz (T, U)

Fig. 37. Połowa kieszeni (V, W)

Fig. 32-a—34-a. Zmniejszony rysunek paletota.

N. X. Sukienka princesse dla panienki lat 9—12. Ryc. 36—33 w N. 5.

Fig. 38. Przodek (a, d, e)

Fig. 39. Pierwszy boczek (a, b)

Fig. 40. Drugi boczek (b, c)

Fig. 41. Plecy (c, d, e)

Fig. 42. Rękaw (a, f, g, h)

Fig. 38—42. Zmniejszony rysunek wszystkich, zestawionych części formy

N. XII. Krótki paltocik dla panienki lat 9—12, ryc. 16—17 w N. 5.

Fig. 43. Przodek (i, k, n, o, p, u, v)

Fig. 44. Boczek (i, k, l, m, w)

Fig. 45. Plecy (l, m, n, o, t)

Fig. 46. Rękaw (p, q, r, s)

Fig. 47. Połowa kołnierza (t, u)

Fig. 48. Kieszeń (v, w)

N. XIII. Ranna sukienka dla dzieci, ryc. 26—27 w N. 5.

Fig. 49. Karczek z przodu (1, 2, 6, 7)

Fig. 50. Połowa karczka z tyłu (1, 2, 8, 9)

Fig. 51. Bryt przedni (3, 4, 6)

Fig. 52. Klin boczny (3, 4, 5, 7, 8, 10, 14, 15, . 1)

Fig. 53. Połowa bryta tylnego (5, 9, X 1 — X 4 . 4)

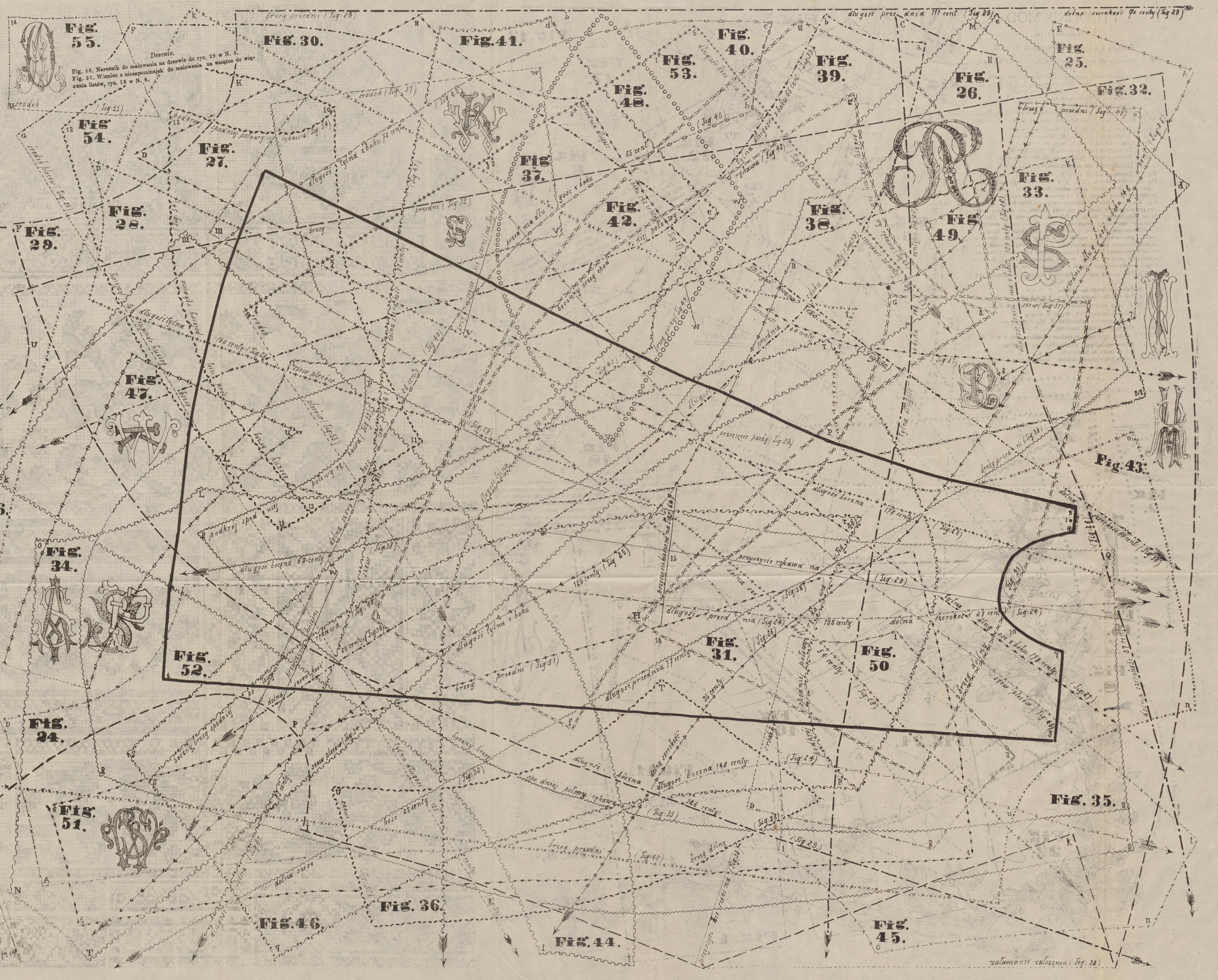
Fig. 54. Rękaw (10, 11, 12, 13)

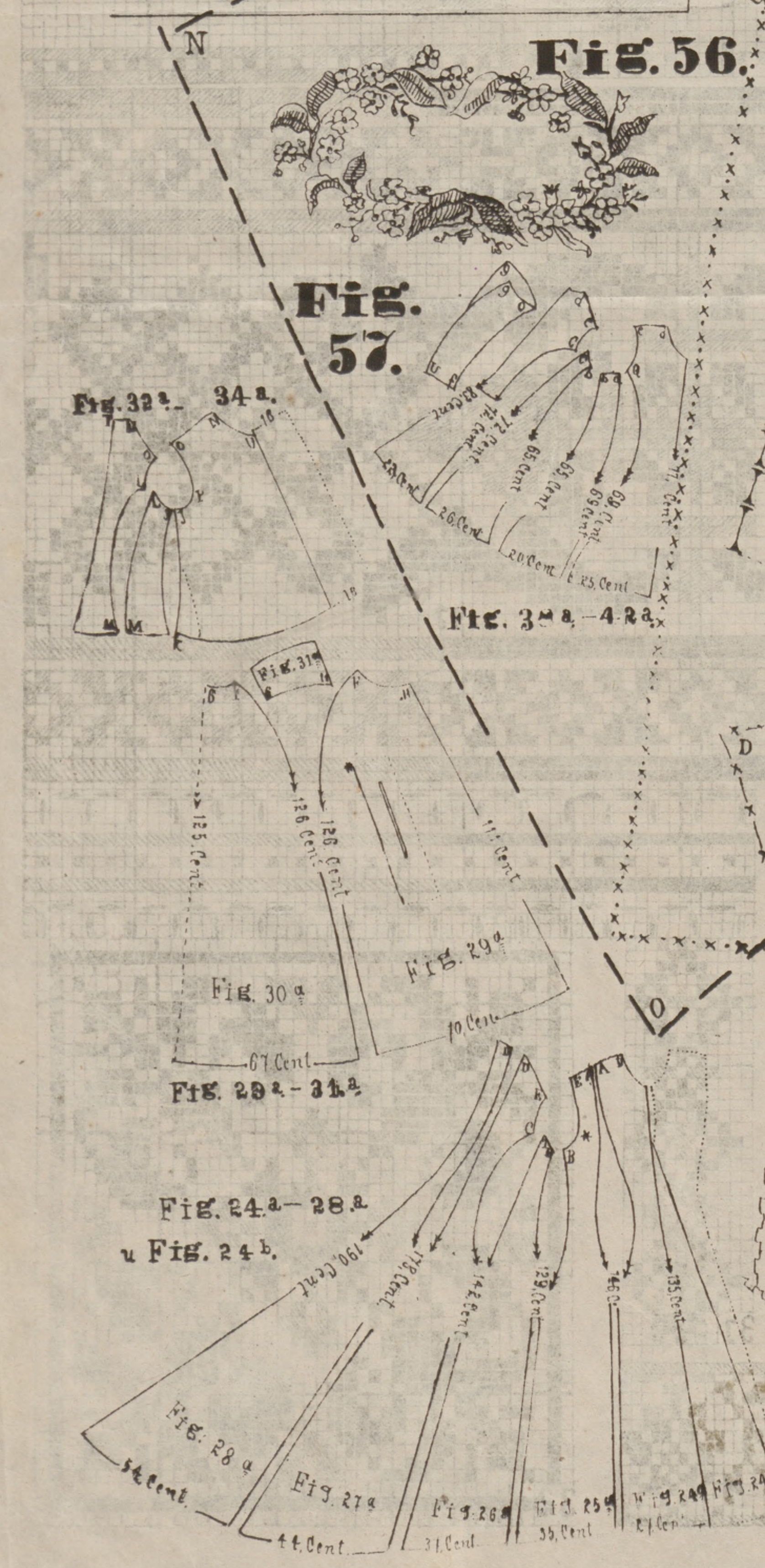
Fig. 55. Połowa kieszeni (14, 15)

Desenie.

Fig. 56. Narożnik do malowania na drzewie do ryc. 29 w N. 6.

Fig. 57. Wieniec z niezapominajek do malowania na wstążce do wiązania listów, ryc. 18 w N. 6.





TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1877 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 5 i 6.

N. I. Sukienka dla małego chłopczyka. Ryc. 28—29 w N. 5 Tygodnika.

Fig. 1. Połowa przodu, zachodząca pod spód z liniją punkcikową oznaczającą zwierzchnią połowę. (A, B, C, D, E, : , *)

Fig. 2. Połowa pleców (A, B, C, D)

Fig. 3. Rękaw (E, F, G, H)

Fig. 4. Mankiet (F, H) •×•×•×•×•

Fig. 5. Połowa przodu spódniczki zachodząca na wierzch (: , *)

N. II. Bluzka dla małego chłopczyka. Ryc. 33 w N. 6 Tygodnika.

Fig. 6. Przód (I, K, L, M, N, S)

Fig. 7. Połowa pleców (I, K, L, M, R)

Fig. 8. Rękaw (N, O, P, Q, *)

Fig. 9. Połowa paska do rękawa (P, Q) ×— ×— ×—

Fig. 10. Połowa paska do wykroju szyi (R, S) ⟷ ⟷

N. III. Kapotka dla małej dziewczynki. Ryc. 19 w N. 5.

Fig. 11. Połowa główki (T, U, + 1 . 1 — × 3 . 3)

Fig. 12. Połowa karczka (T, U, X 4 . 4 — X 6 . 6)

Stosownie do wielkości głowy można łatwo trochę zmniejszyć lub powiększyć formę na ryc. 11 i 12 podaną. Model kapotki był z białego kaszmiru, lekko podwatowany i w skośną kratę 2 cent. trzymającą przepikowany w maszynie; na watę kładzie się muślin a dopiero po przepikowaniu dodaje się fularową podszewkę. Na Fig. 11 oznaczone jest miejsce przeszycia listewki do nawleczenia wstążeczki i przymarszczenia przedniej strony główki do 39 cent.; brzeg zaś przedni przymarszczony, wszywa się w wązką listewkę do której następnie przyszywa się puszek łabędzi. Z tyłu główkę i karczek układa się w jednakowe fałdy, na formie oznaczone krzyżykami i liczbami, a następnie zeszywa z lewej strony i obejmuje listewką. Kokardy i szarfy do wiązania są z wstążki w mantynie, 3 cent. szerokiej.

N. VI. Półkoszulek męzki z kołnierzem stojącym i mankietami, ryc. 10 w N. 6.

Fig. 13. Połowa stojącego kołnierzyka. +•+•+•+•

Fig. 14. Połowa jednej części mankieta. ++++++

N. V. Inny stojący kołnierzyk i mankiety, ryc. 9 w N. 6.

Fig. 15. Połowa kołnierzyka (V, W) ******

Fig. 16. Połowa paska do kołnierzyka (V, W)

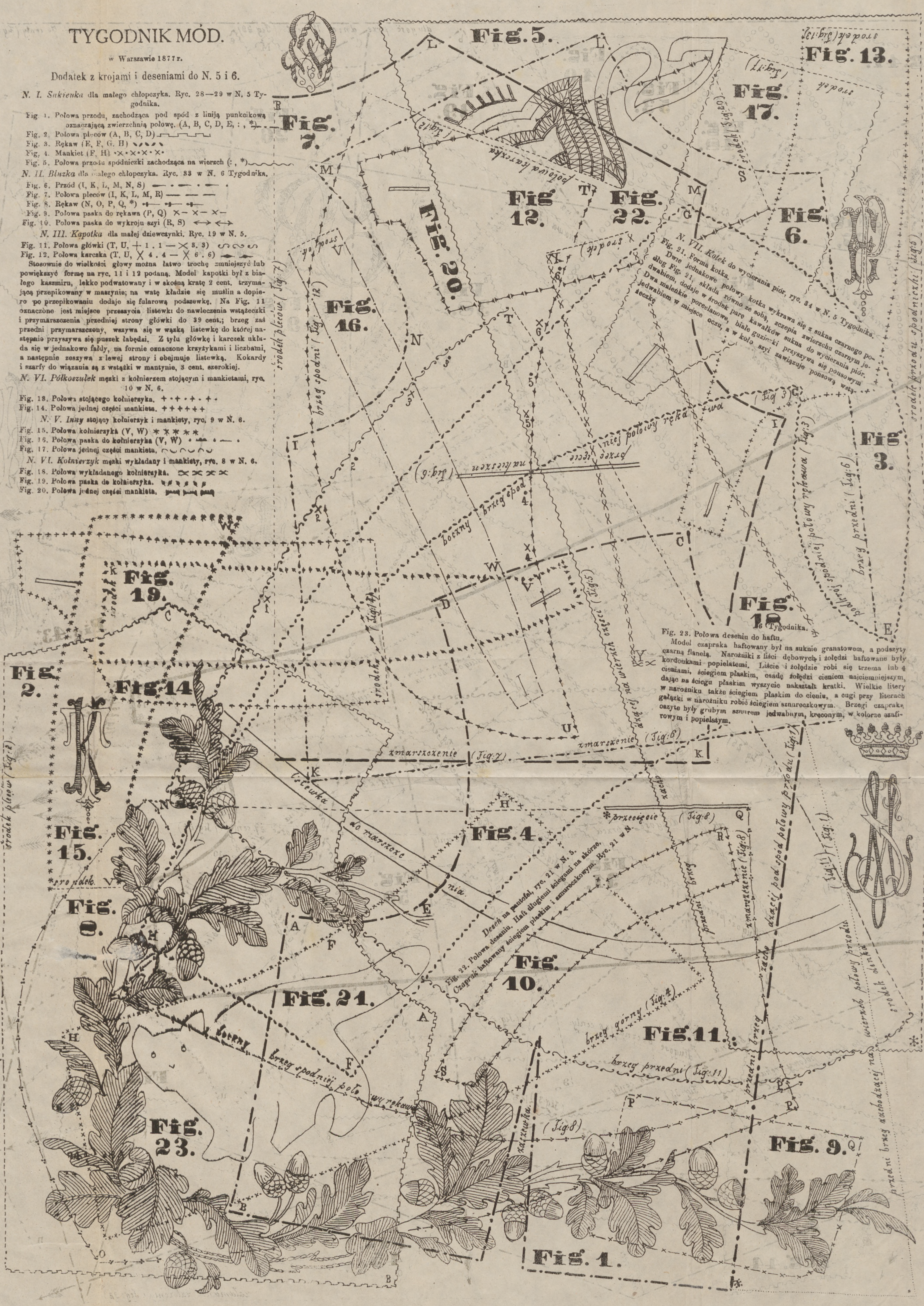
Fig. 17. Połowa jednej części mankieta.

N. VI. Kołnierzyk męzki wykładany i mankiety, ryc. 8 w N. 6.

Fig. 18. Połowa wykładanego kołnierzyka.

Fig. 19. Połowa paska do kołnierzyka.

Fig. 20. Połowa jednej części mankieta.



N. VII. Kotek do wycierania piór, ryc. 34 w N. 5 Tygodnika.

Fig. 21. Forma kotka.

Dwie jednakowe połowy kotka wykrawa się z sukna czarnego podług Fig. 21, składa równo ze sobą, zczepia zwierzchu czarnym jedwabiem, dodaje w środek parę kawałków sukna do wycierania piór. Dwa maleńkie porcelanowe, białe guziczki przyszywa się ponsowym jedwabiem w miejsce oczu, a w koło szyi zawiązuje ponsową wstążeczkę.

Deseń na pantofel, ryc. 21 w N. 5.

Fig. 22. Połowa deseniu. Haft długiemi ściegami na skórze.

Czaprak haftowany ściegiem płaskim i sznureczkowym. Ryc. 21 w N. 6 Tygodnika.

Fig. 23. Połowa deseniu do haftu.

Model czapraka haftowany był na suknie granatowem, a podszyty czarną flanelą. Narożniki z liści dębowych i żołędzi haftowane były kordonkami popielatemi. Liście i żołędzie robi się trzema lub 4 cieniami, ściegiem płaskim, osadę żołędzi cieniem najciemniejszym, dając na ściegu płaskim wyszycie nakształt kratki. Wielkie litery w narożniku także ściegiem płaskim do cieniu, a cugi przy literach gałązki w narożniku robić ściegiem sznureczkowym. Brzegi czapraka oszyte były grubym sznurem jedwabnym, kręconym, w kolorze szafirowym i popielatym.

